№ 65. Wtorek, dnia 28 Grudnia 1875 roku. Tom I.

OGNISKO DOMOWE
Tygodnik

WARSZAWA
dnia 16 (28) Grudnia
1875 roku.

„OGNISKO DOMOWE" wychodzi w każdy Wtorek.
CENA PRENUMERATY: w Warszawie: rocznie rs. 6 kop. —; miesięcznie kop. 50.
" " na prowincyi i w Cesarstwie: rocznie rs. 8; —
" " kwartalnie rs. 2.

REDAKCYA
przy ulicy Mazowieckiej Nr. 1351.
(nowy 11).

OD REDAKCYI.

Nowy okres istnienia rozpoczyna się dla **Ogniska Domowego** z nadchodzącym Nowym Rokiem. Zawiadamiając o tem dotychczasowych tego pisma Czytelników, których czynne poparcie zagrzało nas do dalszych usiłowań na obranej drodze i do udoskonaleń, zgodnych z dążnością i programem **Ogniska Domowego**, zwracamy się zarówno do nich jak i do ogółu Publiczności, w nadziei, że krótki, porównawczy rzut oka na przeszłość i przyszłość wykaże, jak zadanie nasze pojmujemy, jaki cel wytknęliśmy sobie, i co dla dopięcia tegoż celu uczynić zamierzamy. To zdanie sprawy z dotychczasowej działalności i z projektów naszych, poczytujemy sobie za obowiązek i dopełniamy go tem śmielej, że pragnąc szczerze, aby dążenia nasze były zgodne z potrzebami i życzeniami Publiczności, mamy zarazem wewnętrzne przekonanie, iż w tym właśnie duchu do dzieła odrodzenia Ogniska" przy stępujemy.

Każde niemal pismo przedstawia w początkach swego istnienia zalety i wady, właściwe młodzieńczemu wiekowi: z jednej strony zapał, dobrą wiarę, energię, zacność dążeń i poglądów, zaufanie w swoje siły, i w życzliwe tych wszystkich zalet ocenienie; z drugiej niedostateczny zasób doświadczenia, nieustaloną jeszcze łączność duchową z czytelnikami, co w połączeniu z rozlicznemi przeszkodami materyalnej i moralnej natury, utrudnia zajęcie upragnionego stanowiska, którego hasłem jest: **postęp duchowy i umysłowy, użyteczność dla wszystkich i we wszystkiem.**

Tem hasłem powitaliśmy Czytelników w chwili, gdy wydawnictwo **Ogniska Domowego** przeszło w nasze ręce, tę dążność staraliśmy się uwydatniać na każdym kroku, w każdym numerze, w każdym artykule naszego pisma. Śledząc atoli bacznie za rozwojem onegoż, nabyliśmy przekonania, że dotychczasowe rozmiary „Ogniska" nie harmonizują z bogatym jego programem, że obszerny obraz, jaki zamierzyliśmy podawać Czytelnikom, malał do miniaturowych kształtów, z powodu ciasnych ram, w jakich mieścić się musiał. Tem doświadczeniem wzbogaceni, postanowiliśmy, po trzechmiesięcznych sumiennych przygotowaniach, przystąpić do stanowczej, radykalnej reformy naszego wydawnictwa, to jest rozszerzyć **„Ognisko"** do takich rozmiarów, aby serdeczne ciepło i żywotny blask jego przenikać mogły w najdalsze zakątki kraju.

Ze zmianą formy, nie zmieni się jednak kierunek **„Ogniska"**; jak dotąd stało, tak stać będzie nadal jako strażnica wiary, ideału i piękna dziejowego, owej trójcy duchowej, którą strącić z piedestału usiłuje gruby materyalizm stulecia. Reformy przedsięwzięte mają owszem na celu głębsze i dokładniejsze uwydatnienie tego kierunku. Jasną bowiem jest rzeczą, że stojąc niezachwianie przy umiłowanych zasadach, powiększamy zakres „Ogniska" na to jedynie, abyśmy więcej niż dotąd wyczerpująco roztrząsać mogli kwestye najżywotniejsze dla ***rodziny***, będącej zawiązkiem i podstawą każdego społeczeństwa. Wpływać, wedle sił i możności, na utrwalenie węzłów rodzinnych, na duchowe i umysłowe doskonalenie dojrzałych i dojrzewających pokoleń, oto jeden z najgłówniejszych naszych celów.

Niemniej ważnym przedmiotem naszych prac przygotowawczych, był kierunek naukowy i estetyczny, objęty programem naszego pisma. Doszliśmy do przekonania, że luźne artykuły tej treści, umieszczane dorywczo i czytane pobieżnie, w małej tylko cząstce skutek zamierzony osiągają. Pragnąc przeto dział ten podnieść, udoskonalić i zrobić go prawdziwie pożytecznym, postanowiliśmy, zamiast rozpraszać artykuły naukowe w szpaltach pisma, jednoczyć je w osobną całość. W tym celu zwykłe dodatki, zawierające tłumaczone powieści, zastąpimy dodatkiem innym, **równie jak tamte bezpłatnym**, lecz **obszerniejszym, ozdobniejszym,** a co najważniejsza, dającym zamiast chwilowej a niezawsze niewinnej rozrywki, zdrowy pokarm dla serca i umysłu. Będziemy przeto w tym dodatku pomieszczać wyczerpujące prace naukowe, to jest: **dzieła popularne, z drzeworytami objaśniającemi** i te dzieła, mające z czasem utworzyć kompletną **bibliotekę popularno-naukową**, będziemy drukować **w formacie książkowym** dla tem większej dogodności Czytelników. Dodatek ten obejmować będzie rocznie tomów 4 do 5, po 200 przeszło stronnic w każdym tomie, formatu dużego in 8-o. Powziąwszy ten pomysł, nowy i jak mniemamy, pożądany dla Czytelników, nie zawahaliśmy się przed bardzo znacznemi ofiarami, których doniosłość Czytelnicy ocenią, skoro powiemy, że ofiarujemy im **bezpłatnie** cztery tomy, przedstawiające w handlu księgarskim wartość co **najmniej** czterech rubli.

Tak więc, każdy numer naszego pisma obejmować będzie w przyszłości **półtora arkusza**, formatu niniejszego prospektu, i zawierać artykuły dopełniane w miarę potrzeby drzeworytami, a **oprócz tego, szesnaście stronnic bezpłatnego dodatku**, odpowiedniego zakresowi naukowej części programu pisma i również **ozdobionego drzeworytami.** Dodatek ten rozpoczniemy wydawnictwem dwutomowego dzieła p. t. „Najważniejsze odkrycia i wynalazki w dziedzinie nauk i przemysłu". Następnie, umieszczać będziemy kolejno: „Historyę Sztuk Pięknych"—„Pogadanki Astronomiczne"—„Historyę Muzyki"—„Historyę stworzenia Ziemi" i t. d. i t. d. Tytuły te objaśnią niewątpliwie Czytelników o rodzaju i doniosłości naszego przedsięwzięcia.

Do wypełnienia tak obszernego planu, zjednaliśmy sobie liczny zastęp współpraco-

wników, oddawna zaszczytnie znanych w naszem piśmiennictwie. Nazwiska tych osób, od których **dotychczas** uzyskaliśmy łaskawe zapewnienie życzliwego i czynnego współdziałania, wymieniamy:

Anczyc Władysław.—Bełcikowski Adam. Berlicz Sas (hr. Strutyński Juliusz). — Bliziński Józef. — Błydowski A. — Borkowska A. (z Chomentowskich).—Bogusławski Władysław. — Chomentowski Władysław. — Czernicki Gustaw. — Deotyma. — E..ly. — Faleński Felicyan. — Gregorowicz Jan. — Gloger Zygmunt.— Jarochowski Kazimierz. Kasznica Józef.—J. I. Kraszewski. — Kaszewski Kazimierz. — Kirkor A. H.— Kleczyński Józef.—Korzon Tadeusz. — Korotyński Wincenty.—Hr. Koziebrodzki Władysław. Koźmian Stanisław. — Kraków Paulina. — Kotarbiński Józef. — Lubowski Edward. — Łoziński Władysław. — Dr. Łuczkiewicz Henryk.—Łuszczkiewicz Władysław.—Niewiadomski Wincenty. — Noskowski Władysław. — Noskowski Zygmunt.—A. E. Odyniec. — Orzechowski Tadeusz. — Prusinowski Jan.—Rzętkowski Stanisław. — Sadowski Jan Nepomucen. — Sarnecki Zygmunt,—ks. Siarkowski Władysław.— Siemieński Lucyan. — Sienkiewicz Henryk. — Sobieszczański Maxymilian. — Sokołowski Maryan. —Hr. Stecki Tadeusz Jerzy.—Szymanowski Wacław. —hr. Tarnowski Władysław.—Wójcicki Kazimierz Władysław. Zacharyasiewicz Jan.—Zaleska Marya (autorka wieczorów czwartkowych).—Zalewski Kazimierz. — Żmiechowska Narcyza (Gabryela).

Na tem odezwę naszą kończymy. Wypowiedzieliśmy dążności, zamiary i cele nasze. Zobowiązań przyjętych dopełniać będziemy sumiennie i wkrótce przyrzeczenie to zaczniemy stwierdzać czynem. Mamy dobrą otuchę, że „Ognisko Domowe" jako **Pismo Rodzinne** w najszlachetniejszem i najobszerniejszem znaczeniu tego wyrazu, dozna ze strony Publiczności tego poparcia, na jakie zasługuje każde przedsięwzięcie, którego podstawą jest **cześć dla ideału**, a celem **szerzenie światła.**

Wydawca i Redaktor
Jan Noskowski.

WARUNKI PRZEDPŁATY: (*)

W Warszawie:

rocznie	rsr. 6 kop.	—
półrocznie	„ 3 „	—
kwartalnie	„ 1 „	50

W Cesarstwie i na prowincyi:

rocznie	rsr. 8
półrocznie	„ 4
kwartalnie	„ 2

Prenumeratorowie ***Ogniska Domowego*** posiadają prawo do znacznie zniżonej przedpłaty na ***Bajki Lafontaine'a***, w nowym polskim przekładzie, z przepysznemi rysunkami słynnego ***Gustawa Doré***, które nakładem i staraniem **Jana Noskowskiego** wychodzą od 1 Grudnia r. b. w nader ozdobnem i wykwintnem wydaniu.

Cena tego dzieła, które w całości obejmie około 930 stronnic druku z 85 wielkiemi in 4-to rycinami i 500 mniejszemi rysunkami, dla **nieprenumerujących** ***Ogniska Domowego*** wynosi w Warszawie **Rsr. 16** a z przesyłką pocztową **Rsr. 20.** Warszawscy zaś **prenumeratorowie** ***Ogniska Domowego*** będą mogli otrzymać ***Bajki Lafontaine'a*** za **Rsr. 11** lub też nabywać je zeszytami, których będzie razem 58, a które wyjdą w ciągu roku jednego, licząc od dnia 1 Grudnia r. b. Cena zeszytu wynosi **kop. 20. Prenumeratorowie na prowincyi,** otrzymają ***Bajki Lafontaine'a*** za **Rs. 14** i opłatę na nie przesyłać mogą wraz z prenumeratą na ***Ognisko Domowe***, która w takim razie wynosić będzie łącznie z przedpłatą na ***Bajki*** **Rsr. 5 kop. 50** kwartalnie.

(*) Z powodu zmiany w cenie prenumeracyjnej „Ogniska Domowego" upraszą się tych Szan. Prenumeratorów, którzy już przesłali prenumeratę według normy dawniejszej, aby zechcieli zastosować się do cen powyżej podanych, i resztę należności prenumeracyjnej do Administracyi „Ogniska" nadesłać raczyli.

Red.

NA MYLNEJ DRODZE,

POWIEŚĆ

W OBRAZKACH Z NASZEGO ŻYCIA,

przez

Krystynę Narbuttównę.

(Dokończenie.)

Co ją skłaniało do tego, może właściwie i sama nie umiała zdać sobie z tego sprawy; są chwile i okoliczności, w których człowiek bezwiednie idzie naprzód, stając się narzędziem fatalizmu; i pewnego wieczoru Wanda znalazła się w księgarni pana G. Zastała go samego, a podając mu grubych rozmiarów rękopism, powiedziała, że jest upoważnioną przez panią Wandę K. z którą się poznała za granicą, do pomówienia z nim w jéj interesie; tu przedstawiła warunki, na jakich autorka robiła propozycyę wydawnictwa swego dzieła. Pan G., który grzecznie przyjął nieznajomą damę, z litewską flegmą wysłuchał wszystkiego co mówiła, obejrzał rękopism, a potem, kładąc go napowrót przed Wandę, powiedział:

— Nie, szanowna pani, ja tego wydawnictwa się nie podejmę.

— A to dla czego? zapytała Wanda — a głos jej zadrżał.

— Raz, dla tego, że to nie ma najmniejszej wartości moralnéj, a powtóre, że nie obiecuje żadnych materyalnych korzyści.

Wanda poczuła uderzenie krwi do głowy.

— Jakże pan sądzić możesz o wartości tego dzieła, kiedy go nie znasz wcale? zapytała żywo.

— Znam dokładnie dążenia téj autorki

U OGNISKA.

XII.

Czas ucieka, życie mija, — i to nie tylko życie ludzkie, ale nawet życie—samego czasu! Oto właśnie w tej chwili kończy się jeden z tych etapów, które nas zarówno od naszéj kolebki, jak od kolebki ludzkości oddzielają,—dogorywa jeden z tych potężnych członków wielkiej rodziny, z których się wieki i wieczność składają,—kona rok stary,—

„...z jego popiołów wykwita
„Feniks nowy...,"

I jak się to zwykle dzieje na świecie, wszyscy się tyłem do konającego starca zwracają, a wszystkie nadzieje w nowym władcy pokładając, na wyścigi biją czołem nowemu, wschodzącemu dopiero słońcu.

Nie wiemy czy nie temu właśnie przypisać należy, że pod sam koniec starego roku, w ostatnich dniach jego żywota, nic się nigdy prawie ważniejszego nie dzieje, i to zarówno w zakresie spraw wielkich jak małych, zarówno publicznych jak prywatnych. Zdaje się jak gdyby nawet wydarzenia, wypadki, tak zwane cudzoziemskim, ale najlepiej rzecz malującym wyrazem, *fakta*, same niejako odkładały się na rok nowy, nie uważając resztek żywota umierającego biedaka, za godną swoich wystąpień arenę.

A wzgardzony starzec dogorywa w ciszy, z ironicznym uśmiechem na siniejących licach spoglądając w błyszczące obietnicami oczy swojego młodego następcy, — bo żywo jeszcze przypomina sobie, jak niedawno sam podobnych owacyj był celem. Więc kona spokojnie, cierpliwie, na pożegnanie rzucając czasami niewdzięcznym ludziom i dumnemu władcy przyszłości, to jakieś resztki swojej hojności, to jakieś upominki, rady lub przestrogi.

Do takich ostatnich podarków roku obecnie konającego, zaliczyć należy rezultat przed kilku dniami odbytego, tak zwanego *Bazaru*. Nie mamy jeszcze w téj chwili urzędowéj cyfry ogólnego z tej miłosiernéj zabawy dochodu, ale zapewniano nas z dobrego źródła, że wynosi do trzech tysięcy rubli na czysto. Powiecie, że bywało z bazaru dawnemi czasy więcej;—zapewne, ale i to grosz, którym dobroczynność byle należycie skierowana, dużo dobrego zrobić może.

O tych *bazarach* i im podobnych różnych filantropijnych rozrywkach, dużo byłoby do powiedzenia; zdania o nich są dotąd podzielone i wydanie stanowczego wyroku trudne. Boć z jednej strony smutno to pomyśleć, że człowiek gwałtem domaga się tego, aby go nawet do najzacniejszych rzeczy nakłaniano jak dziecko, pozorami zabawy; aby nawet ów grosz ofiary na miłosierne uczynki, wywabiano niejako z jego kieszeni blichtrami nowości, sposobami łech-

które opinia powszechna sprawiedliwie oceniła i bezwarunkowo potępiła—to mi wystarcza.

— Ależ to opinia powszechna, pod wpływem ducha czasu, wyroki swoje bardzo łatwo zmienia, i to co niegdyś potępiała, dziś pod niebiosa wynosić może.

— Nie u nas to łaskawa pani, a przynajmniej nie w tej kwestyi; chciej mi pani wierzyć, że znam swoją społeczność: na chwilę odurzyć ją można, lecz wnet się opamięta i o prawdę się upomni,—sprowadzić ją z drogi prawej nie tak łatwo.

Wanda przygryzła usta.

— Widzę, mówiła udając swobodę i usiłując do końca zachować incognito, że nie trafiłam na wyznawcę idei, którą popiera pani Korwinowa.

Pan G. ukłonił się na to w milczeniu.

— Ależ, dodała jeszcze, udaję się do pana jako do przedsiębiercy, samo imie tak popularne autorki, zdolności, które jej wszakżeż tak powszechnie przyznano, zapewnić panu mogą w każdym razie korzyści, jeżeli zechcesz zaawansować na nakład jej dzieła.

— Co do imienia autorki, to było popularnem w pewnych kółkach tylko; dla ogółu zaś była ona zupełnym sfinksem, którego pojąć nie umiał; co zaś do zdolności, te istotnie były nieposolite, szkoda tylko że w zakresie niewłaściwym spożytkowanemi zostały.

— Jakiż, jeżeli wolno zapytać, zakres był właściwym dla tych zdolności?

— Zakres prywatnego życia.

— Ah! więc o to chodzi, zawołała tryumfująco Wanda, doszliśmy nakoniec do rozwiązania zagadki! Więc dla tego tak wściekle na nią rzucano pociski, że kobieta odważyła się wystąpić w zakres publicznego życia, że nie pozostała bierną niewolnicą, ale miała śmiałość wziąść pióro i zostać autorką.

— O nie, łaskawa pani, chciej mnie tylko zrozumieć; nie występuję wcale przeciwko autorstwu kobiety; przy dzisiejszym postępie i ustroju społecznym, potrzeba nawet koniecznie kobiet piszących, i prace ich na tem polu mogą być ogromnej doniosłości, byleby nie wychodziły z zakresu życia prywatnego.

— A dla czegoż to, w zakres życia publicznego nie ma być wolno kobiecie wystąpić?

— Dla tego, szanowna pani, mówił pan G., że taki już jest porządek ustroju ludzkości, prawem natury ustanowiony, iż prywatnem życiem kierują kobiety, a publicznem mężczyźni; wszystko więc cokolwiek zechce wystąpić z tego porządku i stanie do walki z naturą, stać się musi anomalią niedołężną.

Wanda była wzburzona do nieopisania.

— Więc jakże, mówiła powstając, propozycyę pani Korwinowej pan stanowczo odrzucasz?

— Bardzo mi przykro, odpowiedział kłaniając się pan G., ale ją stanowczo odrzucić muszę; wydawnictwo to na nic by się nie zdało,—przekonany jestem, że lata całe to dzieło leżałoby na półkach księgarni a nikt by o nie nie zapytał.

Wanda wychodziła z księgarni nie widząc nawet że p. G. kłaniał się jéj bardzo nizko i grzecznie.

Niepodobna byłoby opisać tego usposobienia w jakiem Wanda wróciła do domu;—rzuciła z gorzką niechęcią rękopism o ziemię, owoc mozolnéj, wytężonéj pracy, a ręce splotła z rozpaczą. O! straszna to chwila w życiu człowieka, kiedy go tak nagle zawiedzie myśl przewodnia całego życia, i zniknie mu z oczu cel ku któremu całem swem jestestwem dążył.

Wanda na raz ujrzała się na gruzach gmachu, który z takiem wytężeniem przez całe swe życie budowała, a pod gruzami temi pozostały zagrzebane na wieki wszystkie jéj uczucia, myśli i prace gromadzone z takiem wytrwaniem. Zdawało się jéj, że los jakby na urągowisko dał jéj wszystko czego gorąco pragnęła, więc swobodę, siłę samodzielną, sławę, tryumfy, a dziś, w cóż się to wszystko obróciło? w nicość zupełną. Poczuła nieopisaną próżnię w około siebie i z rozpaczą pytała po co żyła? — po co żyć dalej będzie? po za nią wspomnienie gorzkiego zawodu — przed nią próżnia straszna i ciemna — a któż wie jak długa. Jakkolwiek szła w fałszywym kierunku, życie jéj było dotąd pełne, żyła dla idei któréj się poświęciła, cieszyła ją sława, uwielbienia, które na swéj drodze spotykała, a dziś — widziała się rzuconą jak cacko uprzykrzone na pastwę zapomnienia, więc rozpacz i upokorzenie ogarnęły ją, i myślała sobie: czem resztki życia zapełni? jak ich dożyć potrafi bez żadnego celu? ona, co przywykła mieć go zawsze taki jasny i świetny — i miotana srogą katuszą jęczała z bólu który szarpał jéj duszę i łamała ręce z rozpaczą— i śmierci pragnęła, bo pusto i zimno jakby już w grobie było koło niéj. Aż na raz wzrok jéj błędny padł na wiszącą nad biurkiem fotografię. Wanda wyciągnęła ku niej ręce i z głębi duszy zawołała: Janinka! A był to głos tonącego, który nagle pod stopą grunt poczuł. W téj chwili we wzburzonych uczuciach Wandy nastąpiła nagła reakcya, poczuła że jeszcze nie wszystko dla niéj zginęło— próżnia jéj serca wypełniać się zaczęła obrazem córki— i uspokoiła się znacznie, jak deski zbawienia chwyciła się téj myśli, że Janina jeszcze rozświeci jasnem światłem jej życie; poczuła niewypowiedziane utrudzenie a razem tęsknotę do spokoju i wytchnienia, i pomyślała sobie, z jaką to rozkoszą na młodzieńczej piersi córki złoży skołataną głowę i myśli wzburzone uspokoi. Po raz pierwszy w życiu ozwało się w niej uczucie matki i myślą pieściła nieobecną i tęskniła sercem za pieszczotą córki, i całą duszą pragnęła przybliżyć chwilę kiedy ją ujrzy, a pod wpływem tego uczucia, obojętniały jéj zawody i upokorzenie którego doznała, i zaczęła się poddawać losowi spokojniej, z rezygnacyą. Pod wpływem nagłego, piorunującego wstrząśnienia, natura wzięła górę, i kobieta wracała do swego normalnego stanu, —uczucie nad rozumowaniem zapanowało.

Odtąd żyła już tylko myślą o córce, i z upragnieniem największem czekała jej przybycia, a godzinami całemi marzyła o tém jak Janina ukończywszy kursa, opatrzona patentem powróci, a potem już razem żyć dalej będą, dzielić się uczuciem, myślą i pracą — jak ona córkę wspierać będzie radą i doświadczeniem a ta w zamian otoczy ją drobiazgowem staraniem, troskliwością. I rzecz dziwna, mycącemi jego miłość własną, dumę, lub podrażniającemi inne tym podobne a mniej szlachetne namiętności i namiętnostki!... Gdyby się bez tego obejść mogło, ileż to, przez oszczędzenie kosztów na świetny aparat, zyskałoby materyalnie ubóstwo, — a ile moralnie zyskałaby na wartości ofiara!... Z drugiej strony, czyż podobna naturę ludzką z gruntu przerobić, czy podobna ją odwieść od tych śmiesznych, ale zrosłych z nią wiekami przywyczek?... Podobno nie, — a przynajmniej nie tak prędko. A tu nędza nie czeka, głód jest niecierpliwym, a łzy niedoli i cierpienia domagają się jak najrychlejszego obtarcia.. Wiadoma rzecz, iż dwa razy daje, kto prędko daje; więc skorość datku podnosi zasługę ofiary, zmniejszoną tem, że ofiara ta poniekąd wyłudzoną być musiała. Nie róbcież sobie, Szanowni Czytelnicy i piękne a również Szanowne Czytelniczki nasze, najmniejszych broń Boże z tego skrupułów, jeśliście bazar dobroczynny groszem swoim mniej lub więcej zasilili. Za tego rodzaju wybryki, ani Bóg, ani zacni ludzie na was się nie pogniewają.

Pomiędzy upominkami, które rok stary zostawia zwykle w darze ludziom i następcy swojemu, są pewne książki i książeczki, zawierające niby dzieje, niby pamiętnik żywota roku zstępującego do grobu, a zarazem regulamin a raczej pewne formuły dla żywota rodzącego się dopiero jego sukcessora. W książkach tych rok stary mówi niby do nowego: oto ja tak żyłem, to robiłem, takie pamiątki zostawiłem po sobie; ty żyj jak chcesz i rób jak uważasz, ale patrz końca; w tej książce masz obliczony, ponumerowany i porubrykowany cały przebieg twojego życia; radzę ci, miej ten formularz na uwadze, to gdy się cykl obliczonego w nim czasu wyczerpie, staniesz tam gdzie ja dziś stoję, u wrót wieczności, — i nierychło już będzie za grzechy żałować.

Te upominkowe książki i książeczki, zowią się w zwykłéj mowie kalendarzami i kalendarzykami, które stary rok dla nowego przysposabia. Upominków tych rok bieżący zostawił podostatkiem w Warszawie. Nie myślimy tutaj spisywać katalogu tej kalendarzowej biblioteki, — powiemy tylko słów parę o dwóch kalendarzach, które się w ostatnich dniach pojawiły; raz dla tego, że one chwilą swoich narodzin do obecnéj kroniczki naszej należą, a powtóre dla tego, że do nich pewną szczególną przywiązujemy wartość.

Pierwszym z nich jest znany powszechnie „Kalendarz Illustrowany Jana Jaworskiego“, który po nastąpionej w r. b. śmierci pierwotnego wydawcy, nabył na własność wydawca „Ogniska Domowego“ zatrzymawszy skład redakcyi, pod której kierunkiem publikacya ta od lat kilku zostaje. Nie potrzebujemy się tutaj rozwodzić nad rzeczą powszechnie wiadomą i uznaną, iż kalendarz ten zarówno doborem treści jak starannością estetycznej prawdziwie formy, trzyma prym między wszystkiemi tego ro-

ślą co chwila cofała się wstecz i rada przypominała sobie Zalesie, a to miejsce i życie, z którego niegdyś z taką niecierpliwością się wyrywała, dziś nabierało w jéj wspomnieniach nieopisanego powabu, a ile razy myślą przeniosła się w to otoczenie, to rzewna jakaś, nieznana łza wilżyła jej powiekę, a ciche westchnienie wydzierało się z piersi. W takich chwilach niejednokrotnie brała pióro, chcąc pisać do Anny; ale pióro wypadało jej z ręki, bo przypomniała sobie jak ostro i zimno odrzuciła serdeczną jej odezwę.

Dziś już rozbudzone serce Wandy, przypomniało jej że ma syna, i zapragnęła go widzieć, przycisnąć w macierzyńskiem objęciu—tęsknota ogarnęła nią tak silnie, że odważyła się napisać do męża, prosząc aby go jej przysłał. Pan August na list nie odpisał, ale syna wyprawił do Warszawy. Wanda przyjęła Edwarda z uniesieniem, ale młodzieniec trochę sztywny i chłodny, jak ojciec, nie umiał odpowiedzieć na serdeczny uścisk matki, i czuł się w jéj obecności onieśmielony i nie swój, rozmowa im się nie kleiła, widocznem było że tych dwojga ludzi oprócz krwi i nazwiska nic z sobą nie wiązało. Po kilku dniach Edward odjechał a Wandzie jeszcze ciężej na sercu się zrobiło i mówiła sobie: Edward wzrastał pod wpływem niechętnego mi ojca, więc już dla mnie na zawsze stracony, lecz za to Janinka mi to wynadgrodzi— i znowu marzyła sobie, a błoga nadzieja chwile tęsknoty słodziła.

Nakoniec nadeszła tak gorąco oczekiwana chwila; Janinka chlubnie ukończywszy kurs nauk, krótkim listem zawiadomiła o tem uszczęśliwioną matkę, donosząc że wraca do kraju. Wanda gorącemi łzami radości list oblała, po tysiąc razy odczytała te kilkanaście słów córki, czekała, lecz nie wiedziała dnia i godziny swego szczęścia, bo Janina zapomniała napisać kiedy przyjedzie. Aż razu jednego wieczorem, kiedy Wanda pogrążona w myślach siedziała jak zawsze samotna, w przedpokoju ozwał się dzwonek i weszła do pokoju Janina. Wanda z krzykiem radości i wyciągniętemi ramiony rzuciła się ku niej.

— Janino, dziecię ty moje kochane!! zawołała i pochwyciła córkę w objęcia.

Janina z jawnem zdziwieniem uścisk przyjęła.

— Witam mamę, jakże mamy zdrowie? zapytała, i pocałowawszy matkę w ramię wysunęła się z jéj gorącego uścisku.

— O! zdrowa jestem i szczęśliwa nad wyraz, kiedy cię już widzę nareszcie, mówiła żywo matka, a łzy jej głos tamowały.

— Doprawdy? jakaż mama dobra, odpowiedziała konwencyonalnie chłodno Janina.

Wanda chłód tych słów uczuła; obecnie w stosunku matki i córki, ze strony matki tylko zachodziła różnica; dawniej stosunek ten z obu stron równie był chłodny, widziała się się więc zmuszoną zaraz na pierwszym wstępie wytłómaczyć się z tego córce.

— Wybacz mi Janinko droga, mówiła z czuciem, jeżeli dawniej oddana całkowicie pracy, nie miałam czasu okazać ci uczucia matki — lecz wierz mi, że dzisiaj kocham cię całą potęgą mego serca.

Janina pocałowała powtórnie matkę w ramię.

— Jakże ja mamie wdzięczna jestem za tyle łaski — ale w intonacyi głosu jej widno było, że dzisiaj to już jest dla niej obojętnem.

— O! widzę to, mówiła wzruszona Wanda, że ty mnie jeszcze pojąć nie możesz, ale niech tylko pobędziemy z sobą dłużej, to zrozumiesz cały ogrom mojego uczucia dla ciebie, i będziemy z sobą żyły błogo, szczęśliwe razem.

— Nie wątpię, że byłoby to bardzo przyjemnie, odpowiedziała na to Janina z uśmiechem, i niech mama wierzy że mi bardzo przykro iż tak być nie może, lecz tylko w przejeździe jestem w Warszawie, a jutro zaraz odjechać muszę i to na długo jak się zdaje.

Wanda zbladła.

— Co ty mówisz dziecko? zapytała przerażona.

— Tak mamo, szczególna moja protektorka, generałowa C., wyrobiła dla mnie bardzo korzystną posadę w Kazaniu i śpieszyć muszę co rychlej by ją objąć.

— Ależ Janino, jakżeż ja matka twoja, tutaj zostanę? zawołała Wanda rozpaczliwie.

Janina ścisnęła ramionami na znak że nic na to poradzić nie może i mówiła:

— Cóż robić; — jechać muszę jutro niezwłocznie.

— Dziecko moje, miej litość nademną, nie opuszczaj nieszczęśliwej matki!! zawołała prawie bezprzytomna Wanda, a złożywszy ręce błagalnie, osunęła się na kolana przy nogach córki.

Janina cofnęła się o parę kroków i patrząc w około powiedziała z najwyższem zdziwieniem.

— Cóż to jest? cóż to się dzieje? nic z tego wszystkiego zrozumieć nie mogę.

— Ona nie rozumie bólu i miłości matki — i nic dziwnego! zawołała z wyrazem nieopisanej gorzkiej boleści Wanda; nie rozumie, bo ja sama nieszczęsna uwierzyłam tylko w potęgę rozumu, stłumiłam w sobie wszystkie uczucia, nie kochałam nikogo i byłam zimna jak głaz. Ale patrz na mój ból dziecię i uwierz że byłam w błędzie; dziś ja cię kocham całą siłą serca, któremu tak długo milczeć kazałam, a ono potęgą uczucia które mną miota, mści się teraz za gwałt sobie zadany.

Tych słów matki gorących, rozpaczy pełnych, Janina nie rozumiała wcale; wszystko cokolwiek kiedy z ust matki słyszała, tak sprzeczne było z temi słowami, tak inne wyrażało zasady, że wzrosłszy w nich młoda dziewica przejęła się niemi najzupełniej. Te zasady wyrozumowane ustaliły się w niej jeszcze, gdy parę lat ostatnich spędziła wśród społeczności czysto pozytywnego nastroju, i to co się im sprzeciwiało, w jej przekonaniu, graniczyło z szaleństwem. Chcąc zatem upamiętać matkę, która, jak sądziła, znajdować się musi pod wpływem jakiegoś niezwykłego nerwowego rozstroju, odpowiedziała chłodno:

— Uwierzyłaś matko w rozum i słusznie, bo to jedyna potęga, to opoka co niezawodzi; uczucie, to mrzonki chorobliwych i niedołężnych umysłów, to martwe słowa, to piękne frazesa któremi się posługuje rozegzaltowana i zdenerwowana wyobraźnia. Matka — dzie-

dzaju publikacyami. Odpowiada on zresztą najściślej określeniu kalendarza, któremy wyżej podali: jest istnym pamiętnikiem żywota roku ubiegającego. Przeglądy roczne społeczne, polityczne, literackie, artystyczne (z dziedziny malarstwa, rzeźby, muzyki i teatru), wreszcie nauk przyrodniczych, technologiczne, rolnicze i t. d., skreślone piórem zdolnych specyalistów, stanowią rzeczywiście wcale pełny obraz działalności naszej na tych polach w 1875 r. Część literacka mieści w sobie utwory A. E. Odyńca, J. Zacharyasiewicza, W. Korotyńskiego, F. M. Sobieszczańskiego, A. Pługa, Z. Glogera i wielu innych. Harmonijnie zakończa tę część bajka Krasickiego „Pan i pies“ z muzyką ułożoną przez Z. Noskowskiego. Część informacyjna opracowna jak zwykle starannie, a illustracye dokonane zostały ołówkiem i rylcem najcelniejszych naszych rysowników i drzeworytników. Strona typograficzna wielce staranna. W ogóle, jak zawsze, kalendarz ten wychodzi po za sferę wydawnictw których tytuł nosi, i jest z jednej strony bardzo wygodnym podręcznikiem w praktycznem życiu codziennem, z drugiej książką obejmującą nie mały zasób zdrowej a smacznej strawy duchowej.

Poczciwa i szczęśliwa myśl nasunęła wydawnictwo drugiego kalendarza, a raczej „Kalendarzyka dla dzieci“. P. E. Jachowicz, syn owego wielkiego miłośnika a zarazem ulubieńca dziatwy polskiej, nieodżałowanej pamięci Stanisława Jachowicza, wydał przygotowany w całości jeszcze przez nieboszczyka ojca kalendarzyk dla dzieci, dodawszy do niego jedynie nową część właściwie kalendarzową. Książeczka ta, to niby głos tego zacnego człowieka z za grobu jeszcze odzywający się do tych, których za życia tak umiłował; — a co w tym głosie serdecznéj prostoty, ile niewyszukanego wdzięku i myśli poczciwej, o tem podobno mówić nie potrzebujemy. Mali czytelnicy znajdą tam i parę ładnych powiastek, i kilka wdzięcznych wierszyków — a w końcu nawet kilka praktycznych przepisów, np. na różnokolorowe atramenty dla chłopczyków, a przepisów gospodarskich „dla panienek“. Skromna to książeczka, ale wszystkie inne książeczki gwiazdkowe mimo to pierwszeństwa jej ustąpić muszą. Darmo! z Jachowiczem rywalizować trudno!..

Tyleśmy już o nowym roku napisali, że lękamy się znudzić Was do reszty, jeszcze raz do niego wracając; — a przecież bez noworocznych życzeń rozstać się z Wami nie możemy. Więc starym obyczajem przesyłamy Wam na ten nowy rok serdeczne: „Szczęść Boże!“. Niech Wam ten nowy cykl życia w ład idzie, i niech kronika Waszego domowego ogniska ma w nim więcej szczęśliwych i pomyślnych zdarzeń do zapisania, aniżeli będzie liter przez rok cały w naszéj kronice „U ogniska“.

cię — rodzina, to sielankowo brzmi, ale w istocie ludzi z ludźmi tylko wspólność wyobrażeń, wspólność dążeń i interesu wiązać może.

Słowa dziewicy zimne jak lód, jedno po drugiem ciężko, jak kamień potępienia spadały na pochylone czoło Wandy, która osunęła się z klęczek na ziemię, i niema, ze splecionemi rękoma, siedziała jakby słuchając wyroku. Każde z tych słów było wypowiedzeniem jej własnych zasad, jej własnych niegdyś przekonań, i jak pod gromu uderzeniem zdrętwiała i słowa jej na ustach zamarły. Powstała sztywna i zimna, jakby martwa. Odtąd aż do wyjazdu Janiny była jakby automatem niewidomą sprężyną poruszanym bez życia i czucia. Janina patrząc na nią mówiła sobie: „widocznie matka jest pod wpływem jakiegoś chorobliwego rozstroju, dobrze że paroksyzm tej nerwowej choroby przeminął, to przejdzie" i łatwo uspokojona odjeżdżała, a matka żegnała ją na pozór obojętnie, bez myśli prawie; ale kiedy usłyszała turkot odjeżdżającego powozu, co ją na kolej odwiózł, obejrzała się po pokoju, a ujrzawszy tę straszną próżnię w której już tylko grobu doczekiwać miała, rozpacz ją ogarnęła, straszno się jej zrobiło i rzuciła się by uciec od tej pustki strasznej, wyszła na ulicę i bezwiednie znalazła się w saskim ogrodzie. Było już ku wieczorowi, dzień jesienny był chmurny i wietrzny, ogród był prawie pusty, gdzieniegdzie tylko ktoś z przechodzących przebiegł go szybko i znikał pomiędzy szaremi konarami drzew. Wanda chwilowo traciła władzę myśli i nieprzytomna błąkała się po pustych ulicach ogrodu, myśl jej błędna długo krążyła bez celu, aż nareszcie niewiedzieć dla czego, oddalając się zupełnie od tego co ją najmocniej w tej chwili mogło zajmować, cofnęła się w przeszłość i znowu znalazła się w Zalesiu. I zdało się biednej, że to tylko sen ją dręczył przykry, lecz że w istocie żyje jeszcze tem życiem pogody młodzieńczej, otoczona pieszczotliwą opieką ciotki, serdecznem uczuciem Anny, wśród wesela, czystej myśli i spokoju. A tak tam błogo się czuła, że kiedy chwilami oprzytomniona wracała do ciężkiej, strasznej rzeczywistości, nieszczęśliwa siłą woli usiłowała pozostać w tym myśli obłędzie i poiła się nim z rozkoszą — i długo tak, długo błąkała się bezwładna, aż nareszcie strudzone fizyczne siły same ją pchnęły do tego, że instynktowo wyszła z ogrodu, kierując się ku domowi. Kiedy przechodziła koło kościoła Ś-go Krzyża, wypadek czy może boża wola zrządziła, że właśnie odprawiały się nieszpory, a głos organów tak dobrze niegdyś znany w dniach niewinności szczęścia, dobiegł do uszu Wandy; machinalnie weszła do kościoła, przecisnęła się przez tłum ludzi i stanęła naprzeciw wielkiego ołtarza, a było to właśnie w chwili kiedy kapłan Przenajświętszym Sakramentem lud błogosławił. I niegdyś dumna kobieta filozofka, co skalpelem rozumu zimno rozbierać usiłowała tajemnice boże, nagle głucho jęknęła i razem z ludem na twarz upadła. Bóg tylko jeden rozplątać był w stanie splątany wątek myśli i uczuć, które nią miotały w tej chwili wielkiej i stanowczej, co w jednem mgnieniu zburzyła gmach jej dotychczasowych rozumowań. Nabożeństwo się skończyło, ludzie wyszli z kościoła, cisza się zrobiła w około a Wanda korzyła się jeszcze u stóp Wszechmocnego i łzami pokuty i żalu zlewała kamienną posadzkę Jego Świątyni.

Wtem nowy ruch wszczął się w kościele— światło zaczęto zapalać, ludzi gromadziło się coraz więcej, drzwi wielkie z trzaskiem otwarto i do rzęsiście oświeconego kościoła wszedł tłumnie, z szelestem, orszak weselny. Wanda powimo woli spojrzała na zmierzających ku ołtarzowi w uroczystym pochodzie i krzyk co miał wydrzeć się z jej piersi zastygł na wpół otwartych ustach.

Na czele orszaku szła Anna, w jasnej, ciężkiej powłoczystej sukni, strojna poważnie lecz pięknie, z bukietem srebrnego mirtu na piersiach; prowadziło ją dwóch młodych ludzi w uniwersyteckich mundurach, ze srebrnemi bukietami u boku, oba tak uderzająco do Janusza podobni, że wątpliwości nie było że to jej synowie. Za Anną szedł Janusz, prowadziły go dwie śliczne już dorosłe dzieweczki, a podobieństwo rysów jasno wykazywało, że to także córki Anny. Januszowie dla wyższego naukowego kształcenia dzieci bawiący w Warszawie, właśnie dnia tego obchodzili uroczystość swego srebrnego wesela. Anna szła do ołtarza uśmiechnięta, szczęśliwa —Janusz patrzał na żonę z taką samą miłością jakby w dzień pierwszego ślubu, a na twarzy obojga malował się taki spokój błogi, tyle niezmąconego szczęścia, że znać było iż przez ciąg ich wspólnego żywota błogosławieństwo boże ani na chwilę ich nie opuściło.

Wanda patrzyła, i widziała jak oboje ukląknąwszy u stóp ołtarza, uroczyście wzruszeni pochylili głowy pod powtórnem błogosławieństwem kapłana, a potem długą chwilę jeszcze klęczeli i wzniósłszy oczy, znać słali do Boga rzewną modlitwę, składając korne dzięki za łaski i szczęście doznane i prosili o takież samo szczęście dla swych dzieci. Powstali nareszcie, a liczne grono znajomych i przyjaciół co umyślnie na tę uroczystość się zjechali, otoczyło szczęśliwą parę, składając im serdeczne powinszowania. Małżonkowie oboje byli rozrzewnieni; Wandzie zdawało się jakby ich wczoraj jeszcze widziała, tak mało ten dwudziestokilkoletni przeciąg czasu zmienił ich rysy, znać że ich nie kurczyły burze wewnętrzne.

Wszyscy wyszli z kościoła i znowu pusto i głucho się zrobiło, tylko dziadek gasząc światło brząkał kluczami, a Wanda wciąż na klęczkach, zesplecionemi rękoma, dumała głęboko, nakoniec westchnęła ciężko z głębi piersi i poszepnęła:

— Sprawiedliwe są wyroki Twoje Panie! potem wstała i wyszła także.

Chwiejącym krokiem powlokła się do domu, ale wszedłszy do siebie, gdy spojrzała w około, nowym, okrutnym bólem serce jéj się ścisnęło i mówiła do siebie stłumionym, przerywanym głosem:

— Tam, wśród kochającej się rodziny, serdecznych przyjaciół, tyle szczęścia, wesela— a u mnie tak głucho i pusto — o! zaiste sprawiedliwe są wyroki boże; —ona, zasoby swej duszy, nieocenione dary boże spożytkowała według woli Stwórcy, w prostocie i spokoju przyjęła obowiązki swojego posłannictwa i pracowała około nich w ciszy i zaparciu się siebie, a plon jej pracy sumiennej, poświęcenia pełnej, wynagrodził ją słusznie, jej szczęście i miłość sprawiedliwie się należy. Ale ja, co uniesiona szatańską pychą to wszystko ze wzgardą podeptałam, mamże prawo do szczęścia? mogęż wymagać od moich dzieci miłości? ja, co nigdy matką nie byłam, co sama nikogo ukochać nie umiałam, mamże prawo spodziewać się łaski bożej? Ja, co szalona uwierzyłam w nieomylne bóstwo rozumu, stawiąc go wyżej nad Boga samego; a kiedy świętą wiarę moich ojców, wiarę która wykołysała moje dzieciństwo, wiarę którą matka moja ze sobą do grobu poniosła, — ja ślepa szałem pychy oddałam pod rozbiór marnego rozumu, szyderstwem obrzucałam publicznie, i grom wtedy we mnie nie uderzył? O panie! niezbadane są sądy twoje, Boże, Ojcze miłosierny! jęknęła osuwając się na kolana. Litości Twej żebrzę, przebacz zbłąkanej. Jam była na mylnej drodze! I Wanda w najwyższym bólu upadła zemdlona.

Na drugi dzień oddano Annie kartkę na której osłabioną ręką napisane były te kilka słów: „Czuję że ostatnia chwila mojego życia nadeszła, Anno. W imieniu rodziców twoich i swojem, przeciwko którym ciężko zawiniłam, przebacz zbłąkanej Wandzie."

W niespełna pół godziny po odebraniu tych kilku słów, Anna była już przy łożu chorej Wandy, której choroby lekarz określić nie umiał. Januszowie niczego nie szczędzili aby uratować jej życie, zebrano konsylium z najsłynniejszych warszawkich lekarzy. Anna w przyległym pokoju, miotana niepokojem oczekiwała ostatecznej decyzyi. Długo trwała narada; nakoniec z pokoju chorej wyszedł doktór C., który Wandę znał z dawna, zbliżył się się do Anny i powiedział smutno:

— Bolesną wieść pani przynoszę, nauka nasza w tym razie nic poradzić nie potrafi; dusza miotana nieustannym niepokojem zużyła ciało, ostatnie wstrząśnienia wyczerpały do reszty siły żywotne.

Anna zapłakała cicho. Odtąd na wyraźne żądanie Wandy, która rozumiała dobrze swój stan, przy jej łożu, miejsce lekarza ciała, zastąpił lekarz duszy, światły i powszechnie szanowany kapłan, kanonik A. Wanda otoczona serdeczną troskliwością rodziny Zadorów żyła jeszcze parę tygodni, ale siły jéj gasły codziennie, widocznie życie z każdym dniem uciekało, aż nakoniec jednej nocy, Anna, która prawie nieodstępnie przy chorej czuwała, usłyszała głuche westchnienie, zbliżyła się po cichu do łoża Wandy i zastała ją już spokojną na wieki.

Z PODRÓŻY PO SERBII.

V.

Podróżując po Serbii co kilka mil napotyka się domy zajezdne i restauracye, tak zwane *Mehana*, w których podróżni (ubodzy nawet bezpłatnie) znaleźć mogą schronienie i posiłek. Zakłady te potrzebują oddzielnej koncessyi i budowane być powinny według planu przez rząd zatwierdzonego, czyli odpowiadać muszą pewnym warunkom oznaczonym, a mianowicie: posiadać pewną liczbę pokoi, odpowiednio (lubo skromnie umeblowanych, zdrową sypialnię wspólną o przepisanej liczbie kołder i materaców i t. p. Pozostawiają one wprawdzie do życzenia, szczególniej pod względem czystości, gdyż wszystkie posługi załatwia tam zazwyczaj Cincar (Bulgar) dosyć brudny, a żadna ręka kobieca nie zajmuje się kuchnią, bielizną, pościelą i t. d. Dosyć zajrzeć do kuchni, rzucić okiem na naczynia nieczyste, stół i pościel, by od razu stracić wszelki apetyt i poczucie wczasu przyjemnego. Z tem wszystkiem jednak znajdziesz tam zawsze zapas jaj, cebul, sera, chleba, dobrą kawę na pogotowiu, wino niezgorsze, śliwowicę, baraninę, a nawet kurczę—i sprawiedliwość każe mi wyznać, że w niektórych mehanach, jakkolwiek stosunkowo bardzo drogich, jadłem nieraz wcale dobrze i spałem tak samo. Zainteresowały mię obrazy zawieszone na ścianach. Podczas, gdy w domach prywatnych i dworkach chłopskich widywałem jedynie wizerunki patronów świętych i portrety rodziny panującej, w mehanach i kawiarniach napotykałem często obrazy familii cesarsko-rosyjskiej i cesarza Maksymiliana meksykańskiego; prócz tego rozmaite sztychy przedstawiające zamordowanie księcia Michała Obrenowicza (10 czerwca 1868 r.), i scenę rozstrzelania Cesarza Maksymiliana.

Poczta listowa i zarząd (dosyć stosunkowo rozgałęzionej komunikacyi telegraficznej w Serbii — nic prawie do życzenia nie pozostawiają. Nieraz miałem sposobność prze-

konać się z jaką sumiennością i pośpiechem obie te administracye są obsługiwane; natomiast poczta osobowa i wozowa dużo ma niedostatków. Policya też serbska jest dobra, bezpieczna i szybka; toż samo powiedzieć można o sprawiedliwości karnéj. Nieliczne więzienia w Serbii stoją prawie pustkami; kary surowe, kradzież np. w razie powtarzania śmiercią (rozstrzelaniem) jest karaną. Ale i ludność sama, jak już nadmieniłem gdzieindziej, nie znosi pomiędzy sobą złodziei, i w ten sposób dzielnie wspiera policyę bezpieczeństwa.

Stosunek urzędników serbskich do ludności miejscowej w ogóle bardzo korzystne wywarł na mnie wrażenie. Życzliwość, spokój, powaga i stanowczość z jednéj strony, a z drugiej nieograniczone zaufanie do rządu, chętna uległość i poszanowanie dla organów władzy, bez służalczej jednak podańczości. Z przyjemnością zawsze przypatrywałem się gdy *kapitan* (odpowiadający mniej więcéj naszemu komisarzowi włościańskiemu) zgromadzał na wsi chłopów w koło siebie, rozprawiał z niemi o sprawach gminnych, ogłaszał im rozporządzenia rządowe, rozstrzygał spory i t. d. Rozprawy te odbywały się spokojnie, z powagą, bez hałasu i sprzeczek.

Całe kięstwo serbskie dzieli się na siedemnaście okręgów, ustanowionych ze względu na siedmnaście miast większych, a mianowicie: Belgrad, Šabac, Posarewać, Milanowac, Saiciar, Negotin, Waljewo, Losnica, Usica, Kragujewac, Jagodina, Kuprija, Aleksinac, Kniajewac, Semendria, Saćak, Kruśewac. Na czele każdego okręgu stoi *naćalnik*, który znosi się bezpośrednio z ministerstwami w Belgradzie. Naczelnik każdy ma do pomocy *pomotnika* (zastępcę) i dwóch do trzech pisarzy (decernentów), prócz tego pięciu lub sześciu po większej części konnych *pandurów*, pełniących zarazem obowiązki woźnych i strażników policyjnych. Przy każdym nadto okręgu urzęduje inżynier i lekarz okręgowy.

W każdem mieście okręgowem jest sąd pierwszej instancyi z kilku adwokatami. Waljewo, liczące tylko 5,000 mieszkańców, ma czterech adwokatów. Niezależnie od szkół elementarnych, w każdem mieście okręgowem istnieje szkoła wyższa realna, albo gimnazyum i szkoła dla dziewcząt.

Dalej w każdem mieście okręgowem zamieszkuje komendant siły zbrojnej, zazwyczaj major lub pułkownik, wraz z dodanym mu do pomocy oficerem artyleryi, zawiadujący niewielkim oddziałem wojskowym, utrzymujący arsenał w porządku i kierujący corocznemi ćwiczeniami wojskowemi. Serbia posiada armię stałą jedynie z trzech do czterech tysięcy żołnierzy złożoną, ale siła zbrojna stosunkowo tam bardzo znaczna, gdyż landwera tameczna, składająca się z ludzi walecznych, po części w akademii wojennej belgradzkiej wykształconych, stanowi prawdziwą potęgę.

Służba zdrowia zdaje mi się w ogóle niedostatecznie uorganizowaną, jakkolwiek są tam pojedyncze lekarze wcale znakomici. Brak w Serbii lekarzy; ci ostatni, wyłącznie cudzoziemcy, przybywają i znów się wynoszą.

Kapitan zostaje w bezpośredn.ch i osobistych stosunkach z ludnością miejscową i zajmuje się ściąganiem podatków. W Serbii istnieje tylko jeden podatek stały, tak zwane pogłówne, wynoszące w przecięciu około sześciu rubli rocznie od familii każdej. Podatek ten rozpisuje na gminy naczelnik okręgu, gminy zaś takowy znów rozkładają w miarę większej lub mniejszej zamożności swoich mieszkańców. Mówiono mi że rozkład ten następuje zazwyczaj bez sporów i oppozycyi. W Serbii niema wcale pieniędzy papierowych, kursują tylko ruble ruskie i kopiejki, dukaty austryackie, liczone po 3 ruble, i moneta zdawkowa serbska (miedź) po 5 i 10 *para*. Dwadzieścia *para* równa się 1 piastrowi, 20 piastrów znów 1 rublowi.

Na czele gminy każdej stoi tak zwany *kmet* (sołtys). *Kmeci* ci, o ile ich miałem sposobność poznać, nadzwyczaj mi się podobali, byli to bowiem bez wyjątku ludzie intelligentni i wskutek zamożności pewnej niezależni, używający tak u mieszkańców gminy, jako u i władzy, wielkiego poszanowania. Pełnią oni obowiązki swe z zamiłowaniem i pojęciem zadania swego.

Ministeryum państwa serbskiego składa się z prezesa, który jest zarazem ministrem spraw zagranicznych, z ministrów: finansów, spraw wewnętrznych, sprawiedliwości, oświecenia i budownictwa. Sekretarze ministerstwa oświecenia co rok zwiedzają szkoły elementarne, a rewizyete, o ile wiem, nie są czczą formą. Rząd ściśle przestrzega, aby szkołom nie zbywało na potrzebnych pomocach naukowych i wykładowych; aby gmachy szkolne, utensylia i t. p. były w porządku, gdzie zaś są warunki po temu, aby nowe szkoły zakładane były. Skoro wykazaną zostanie pewna liczba dzieci obowiązanych uczęszczać do szkoły, gmina dana musi wystawić dom szkolny, dostarczyć odpowiedniego materyału budowlanego i ziemi (około 2 morgów), oraz zakupić potrzebne utensylia, poczem rząd przysyła nauczyciela, któremu pensyę ze skarbu wyznacza. Przy ministerstwie spraw wewnętrznych utworzonym jest oddział statystyczny, który tem grzeszy, że zebranych przez siebie materyałów nie ogłasza.

Konstytucya państwa serbskiego jest czysto demokratyczną, nie masz tam ani szlachty, ani przywilejów, ani właścicieli posiadłości większych. Zgromadzenie narodowe, tak zwana *Skupczyna*, które co rok zasiada w Kragujewac i wielki wpływ wywiera na sprawy rządowe — składa się z 250 do 300 członków.

Kartek tych, przeznaczonych na obudzenie interesu dla kraiku hojnie przez naturę uposażonego, i dla jego ludności intelligentnéj — stosowniej zakończyć nie mogę, jak serdecznem życzeniem pomyślnego dlań rozwoju i szczerą podzięką za przyjęcie gościnne, jakiego wśród mieszkańców tamecznych doznałem.

O WIETRZE.

(Dokończenie.)

Jakkolwiek i po Arystotelesie wielu badaczy poznawało tę okoliczność, zyskała ona znaczenie prawa naukowego dopiero w naszym wieku, dzięki mozolnym pracom Dovego, który to potwierdził zebraniem mnóstwa uwag i postrzeżeń rozproszonych. Przekonał się on mianowicie, że opowiedziany wyżéj obrót, zwany przez niego prostym, ma daleko częściej miejsce, niż obrót przeciwny—wsteczny; całazaś ta reguła nosi nazwę: prawa Dovego obrotu wiatrów.

Uczony ten meteorolog wskazał też przyczynę tego zjawiska, której tu jednak nie rozwiniemy, aby nie nużyć uwagi czytelnika; poprzestaniemy tylko na wzmiance, że tłómaczenie to opiera się na ogólnych prawach wiatrów, któreśmy w poprzednich ustępach szczegółowo rozwinęli. Jeżeli czytelnik raczy sobie przypomnieć, cośmy mówili (Nr. 48) o następstwie lekkich wietrzyków dziennych, to widzimy, że porządek następstwa wielkich wiatrów jest takiż sam jak owych lekkich powiewów, które w ciągu dnia także obracają się za biegiem gwiazdy dziennéj.

W okolicach umiarkowanych półkuli połudnowiej przechodzenie wiatrów jednego w drugi ma miejsce w kierunku przeciwnym—z północy przez zachód na południe, ze wschodu przez północ na zachód, zgodnie z biegiem słońca, które dla Australczyka przechodzi na północ jego zenitu.

Na nieszczęście reguła Dovego ma tylko wartość naukową, praktyczne zastosowanie jej jest, dotąd przynajmniej, bardzo małe; nie możemy jej bowiem użyć w celu przepowiadania przyszłych wiatrów, a tem samem stanu pogody. Czas bowiem potrzebny na dokonanie przez wiatr zupełnego obrotu, jest bardzo rozmaitym, zależnym od wielu okoliczności, których zebrać niepodobna. Tak np. Kolbing na Szląsku zaobserwował całkowity obrót normalny dokonany w ciągu 16 godzin, gdy z drugiéj strony Quetelet w Brukselli uważał obrót, który przebiegał całe koło wichrów zaledwie po upływie 88 dni. Gdy prąd równikowy osiąga panowanie, chorągiewka może przez całe dnie i tygodnie statecznie przyjmować kierunek południowo-zachodni, poczem ulega szybko obrotowi przez zachód i północ ku północowschodowi, aby znów przez dłuższy czas pozostać pod wpływem prądu.

Zresztą i wyjątki od tego prawidła nie są wcale rzakie. Całkowite wprawdzie obroty wiatrów w kierunku wstecznym, t. j. z północy przez zachód na południe, bardzo się rzadko przytrafiają, ale dosyć często ma miejsce częściowy odskok wiatru, w czasie walki dwóch wiatrów przeciwnych. Gdy np. wiatr równikowy zaczyna już ustępować silnie nacierającemu prądowi biegunowemu, tak że wystąpił już wiatr północnozachodni, zdarzyć się może, że zyskuje nową siłę i odpiera przeciwnika, wtedy wiatr wraca znowu z kierunku północno-zachodniego do zachodniego lub południowo-zachodniego. Podobnyż ruch nieprawidłowy może mieć miejsce, gdy prąd biegunowy ustąpiwszy już nieco równikowemu, znowu pierwotną odzyskuje władzę; wtedy chorągiewka z kierunku południowo-wschodnie go odskakuje znowu do północnego lub północno-wschodniego.

Drugi jednak z tych obrotów nieprawidłowych rzadziej dostrzeganym bywa niż pierwszy; pochodzi to ztąd, że wiatr biegunowy sunie po saméj powierzchni ziemi i gdy naciera na panujący w pewnéj chwili wiatr równikowy, rozpoczyna z nim walkę w niższych warstwach atmosfery, podległych bezpośredniéj obserwacyi naszéj. Przeciwnie wiatr równikowy cieplejszy i lżejszy, uderza z góry na prąd biegunowy i stacza z nim walkę w strefach górnych, a gdy my go doznajemy przy ziemi, walka już jest zwykle rozstrzygniętą.

Ważnem jest niezmiernie dla każdéj okolicy rozpoznanie, które wiatry w ciągu roku i w ciągu różnych jego pór najczęściej występują. Liczne spostrzezenia uczą, że w Europie środkowéj i w ogóle w całéj strefie umiarkowanej, wiatry południowe i zachodnie częstsze są niż inne, co wskazuje, że w stronach tych panowanie prądu równikowego przeważa nad biegunowym. Okazuje się to z liczb następnych, przedstawiających ilość ośmiu głównych kierunków wiejących w ciągu 1000 dni w Angli, Niemczech i na Litwie:

	pn.	pnw.	w.	pdw.	pd.	pdz.	z.	pnz.
Anglia	82	111	99	81	111	225	171	120
Niemcy	84	98	119	87	97	185	198	113
Litwa	23	13	97	51	324	71	99	322

Ponieważ Europa od strony południowo-zachodniej oblaną jest morzami, wypada ztąd, że najczęstsze wiatry europejskie pochodzą z nad mórz, lubo takowe na tę okoliczność wpływu nie mają. Przewaga wiatrów południowych i południowo-wschodnich występuje zwłaszcza w miesiącach zimowych; wiatry północno-wschodnie i wschodnie stosunkowo najliczniejsze są w miesiącach wiosennych i jesiennych.

Rozumie się, że liczby powyższe są średniemi z długiego szeregu obserwacyj: w latach pojedynczych okazywać się mogą znaczne odstępstwa od powyższych reguł.

Uderzająca ta różnica między ilością wiatrów południowo-zachodnich i północno-zachodnich łatwo się tłómaczy. Prądy atmosferyczne przenosząc znaczne ilości powietrza z jednych okolic w drugie, muszą się się tak rozkładać, aby ciągle zrywana równowaga w wielkim oceanie atmosferycznym, bezustannie przywracaną była. Jeżeli np. w pewnéj okolicy dana massa powietrza przepłynie przez równoleżnik ku biegunowi, to w innej okolicy takaż sama jego massa przepłynąć musi ku równikowi. Ale prąd biegunowy jest znacznie zimniejszy niż równikowy, tak że oznaczony ciężar powietrza sunącego od bieguna, zajmuje objętość mniejszą niż takiż sam ciężar powietrza płynącego od równika. Wiatry przeto południowo-zachodnie płyną w ogóle łożyskami szerszemi niż północno-wschodnie, a że nadto łożyska te są zmienne, pojmujemy łatwo, że każda miejscowość częściej się dostaje pod panowanie prądu równikowego, jako szerszego, niż biegunowego.

Nadto, prąd równikowy w miarę zbliżania się ku biegunowi oziębia się, powietrze przezeń unoszone kurczy się, łożyska, którremi się przesuwa stają się węższemi, a przenoszenie całej massy powietrza stanowiącej tę rzekę atmosferyczną, dokonać się może przez to tylko, że takowa zsyjake na prędkości; ztąd to wiatr południowo-zachodni posuwając się ku północy staje się coraz szybszym. Przeciwnie prąd biegunowy w miarę jak się przesuwa ku południowi, ogrzewa się co raz bardziej, płynie korytami co raz szerszemi, zwalnia swój bieg, a w oko licach zwrotnikowych staje się spokojnym i regularnym wiatrem alizejskim. W okolicach naszych prądy równikowe przeważają nietylko liczebnie, ale także siłą i gwałtownością górują nad wiatrami biegunowemi.

Najcieplejsze są wiatry południowe, najzimniejsze północno-wschodnie; pierwsze, unosząc ze sobą największą ilość pary wodnéj, są najwilgotniejsze, drugie najsuchsze. Najsilniejsze zachmurzenie występuje przy wietrze południowo-zachodnim, najczystszem jest niebo przy wietrze wschodnim. Tem się objaśnia dla czego w lecie wiatry wschodnie a w zimie południowo-zachodnie sprowadzają najwyższą temperaturę. W lecie bowiem działanie dzienne słońca przeważa znacznie na prominiowaniem nocnem ziemi, nad jej stygnięciem; najwyższe zatem ciepło panuje wtedy, gdy promienie słońca bez przeszkody do powierzchni ziemi dostawać się mogą, gdy niebo jest czystem, — to jest przy wietrze wschodnim. W zimie przeciwnie, słońce ukośnie rzucanemi promieniami nie jest w stanie wynagrodzić straty, jaką ponosi ziemia przez swe stygnięcie nocne; ciepło zatem będzie najwyższem wtedy, gdy to ostatnie stygnięcie będzie o ile można wstrzymanem, gdy gęsta powłoka chmur stawia przeszkodę rozchodzeniu się ciepła ziemi w przestrzeń światową, — co ma miejsce przy wietrze południowo-zachodnim.

Barometr wskazujący ciśnienie powietrza, również ulega zmianom w swej wysokości przy zmianie kierunku wiatrów. Wiatry południowe, sprowadzając powietrze cieplejsze, a tem samem gatunkowo lżejsze i wilgotniejsze, wywierają na powierzchnię ziemi ciśnienie mniejsze niż zimniejsze i suchsze wiatry północne; barometr przeto przy wiatrach równikowych stoi niżej niż przy biegunowych. W ogóle wyższa temperatura, większa wilgotność, niższy stan barometru cechują prądy równikowe i silniej o obecności ich przekonywają niż sama chorągiewka, kierunek bowiem wiatru wskutek wpływów ubocznych, przez góry, doliny i t. d., może tak być zmienionym, że prąd biegunowy przybywa od południo-wschodu.

Już z opowiedzianych wyżej własności różnych wiatrów wypływa, że następstwo pogody i deszczu związanem jest z występowaniem różnych wiatrów, stan bowiem pogody zależnym jest bezpośrednio od stanu wilgotności i temperatury powietrza, a różne wiatry sprowadzają nam różną ilość pary wodnéj. Powierzchowna nawet obserwacya uczy, że stan pogody ulega podobnemuż obrotowi jak i kierunek wiatru, i że całkowitemu obrotowi wiatru od wschodu przez południe, zachód, północ, znowu na wschód, odpowiada zmiana stanu powietrza z pogody w niepogodę i znowu z niepogody w pogodę.

W okolicach naszych, szczególnie w zimie, łatwo obserwować można przemianę stanu pogody towarzyszącą zmianom wiatrów. Pod władzą wiatru wschodniego przez czas pewien niebo pozostaje pogodnem, mróz ścina lodem jeziora i rzeki. Atoli prąd równikowy zaczyna się wdzierać, zimno się łagodzi, barometr opada, a niebo zaczyna się powlekać subtelną tkanką chmur pierzastych. Wiatr przybiera kierunek południowo-wschodni, chmury przechodzą stopniowo w warstwowe, a z nich już niekiedy opuszcza się drobny deszcz lub śnieg; wiatr tymczasem obraca się bardziej ku zachodowi, a barometr wciąż opadając, przyjmuje stan swój najniższy. Niekiedy przy wietrze południowym niebo się znowu wypogadza, ale gdy wiatr przejdzie dalej w południowo-zachodni, tworzy się gęsta powłoka chmur, zlewająca nas trwałym deszczem lub zasypująca gęstym, kłaczkowatym śniegiem. Podczas gdy wiatr skręca w kierunek zachodni, ulewy trwają wciąż dalej, ale barometr się podnosi, natężenie zimna się powiększa. Skoro występuje wiatr północno-zachodni, powłoka chmur zaczyna się rozdzierać i rozpada się w dziwaczne kształty chmur kłębiastych i warstwowych, pędzone wiatrem, a deszcze i śniegi padają z przerwami. Jeżeli tu prąd równikowy odsyskuje swą władzę, wiatr odskakuje wstecz, ku południowi, i ulewy się wznawiają; ale jeżeli prąd biegunowy zdobywa stanowczą przewagę jako wiatr północny, to barometr podnosi się statecznie, niebo się wypogadza, termometr opada, aby przy wietrze północno wschodnim doszedł najniższego swego stanu.

Z tego cośmy powiedzieli, łatwo czytelnik ocenić może, jakie znaczenie i jaką wartość ma barometr w przepowiadaniu pogody. Czułość barometru o wiele jest większą niż chorągiewki; gdy ta ostatnia pozostaje jeszcze nieporuszoną, opadanie lub podnoszenie się barometru zapowiada rychłą zmianę wiatru, a wskazanie to staje się wyraźniejszem, gdy współcześnie pytamy barometru i hygrometru, gdy zważamy na stopień ciepła i wilgotność atmosfery. Ztąd nie bezzasadnie barometr zasłynął jako prorok pogody, ale nie ufajmy mu zbyt wiele, bo za nieprawidłowe w ruchach atmosfery odskoki nie można go czynić odpowiedzialnym. Dla ułatwienia tych przepowiedni, obok liczb wskazujących na barometrze wysokość słupa rtęci, czyli ciśnienie atmosfery, dodają się stosowne napisy. Przy najwyższym średnim stanie barometru kładzie się wyraz *cisza*, przy najniższym *burza*, przy średnim *zmienne*. Pomiędzy stanem średnim a najwyższym umieszczamy wyrazy *deszcz lub wiatr* i *deszcz wielki*, pomiędzy stanem średnim a najniższym — *pogoda* i *pogoda stała*.

Powyższe zasady przepowiadania pogody mają jednak wartość tylko dla Europy i w ogóle dla tych okolic, do których prąd równikowy przybywa po przebiegnięciu mórz rozległych i ciepłych, zatem obładowany wilgocią. Do Egiptu prąd równikowy dostaje się z gorącej i suchej pustyni, — przy obniżaniu zatem barometru sprowadza suszę; przeciwnie wiatry północno wschodnie, przybywające tam z nad zatoki Perskiej, przynoszą deszcz, lubo jako ciepłe także na zniżenie barometru wpływać mogą. Na wybrzeżach zaś La Platy ruch barometru jest wprost przeciwnym niż u nas; prąd bowiem równikowy, który tam, jako dla okolicy półkuli południowej, ma kierunek północno-zachodni, przybywa po przebieżeniu suchych przestrzeni pampasów, podnosząc przeto barometr, zapowiada suszę; prąd natomiast biegunowy — południowo-wschodni, który tam przybywa z nad południowej części oceanu Atlantyckiego, jest wilgotnym, sprowadza chmury i deszcz, a zimniejszy od poprzedniego, obniża barometr.

W każdym razie łatwo tłomaczyć się dające ruchy barometru, i związek ich ze stanem pogody, są najpiękniejszem poparciem teoryi wiatrów, której najważniejsze zasady staraliśmy się czytelnikom naszym opowiedzieć.

Całego jednak przedmiotu wyczerpać nie zdołaliśmy; na wspaniałem i olbrzymiem tle wiatrów zasadniczych, ogólnych, występują w potężnych i strasznych zarysach burze, trąby, cyklony, wstrząsające atmosferą na mniejszej lub większej przestrzeni, roznoszące często śmierć i zagładę. Obrazy groźnych tych zjawisk przyrody ziemskiej zajmą nas następnie.

St. Kr.

O ZABAWKACH DZIECINNYCH.

(Dokończenie.)

We Francyi marionetki widziano po raz pierwszy w XVII stuleciu.

Na tych kilku szczegółach historycznych zapożyczonych z pracy francuzkiego autora Léonzon Le duc, przerywamy historyę zabawek której nie opowiedzieliśmy (dla braku miejsca) nawet w dziesiątéj części, i spojrzymy się z inngo punktu widzenia na zajmujący ten przedmiot, pragnąc chociaż w krótkości wykazać jego znaczenie, jako czynnika wychowawczego.

Bo niech tam co chcą mówią historycy, że ten lub ów zabawki wynalazł, jednak temu zaprzeczyć nie mogą, że pierwszą zabawkę wynalazło dziecko. Z natury swojej wrażliwe i do naśladowania skłonne, naśladując to co czynią starsi, utworzyło sobie

przedmiot swych zajęć, który starsi nazwali zabawką.

Dziewczynka widząc matkę, jak ta ubiera i pieści młodszego jej braciszka, bierze kawałek kija, ubiera go w gałganek, nosi na ręku, bawi, śpiewa mu, jednem słowem naśladuje ruchy, czynność i gesta swej matki; chłopiec widzi ojca jadącego na koniu, pragnie go naśladować, bierze tedy kij, i przy pomocy bujnéj dziecinnéj fantazyi wyobraża sobie że jest niesionym przez dzielnego rumaka którym kieruje; widzi mustrujących się żołnierzy — zwołuje towarzyszy i tworzy armię, wykonywa manewra, ataki i odwroty, jednem słowem naśladuje to co widzi. W tem według naszego zdania spoczywa geneza zabawek, dzieci są prawdziwemi ich wynalazcami, a ludzie dojrzali chcąc im uprzyjemnić zabawę, starali się tylko wydoskonalić ich pomysł, tworząc dla nich to, czego umysł ani ręka dziecka wykonać nie jest w stanie.

Tym sposobem powstały zabawki więcej udoskonalone, powstały owe drogie i eleganckie lalki, ruchome figurki, frygi, dzwonki, kulki złote i srebrne, o których wspomina historya, sztuczne zwierzęta, miniaturowe zbroje i tak dalej. Wreszcie mechanika ofiaruje dzieciom swoje usługi, i stwarza im zabawki dowcipnie pomyślane i mające dla dziecka urok cudowności, przyczem, powiedziawszy nawiasem, skorzystała i ludzkość, gdyż nie jeden wielki wynalazek, mający ogromną doniosłość w dziejach świata, przedstawił się pierwiastkowo w formie zabawki. Tak naprzykład para wodna, owa para przewożąca dzisiaj codziennie miliony ludzi i tysiące tysięcy centnarów towaru, była pierwotnie używaną w Atenach do wprowadzenia w ruch małych kulek metalowych, wewnątrz pustych; proch strzelniczy, zanim zaczął służyć do zabijania ludzi, był używany na wschodzie do wyrabiania ogni sztucznych; a w Europie, jak powiada Roger Bakon, dzieci bawiły się tą mieszaniną eksplozyjną o dwieście lat pierwéj, zanim wynaleziono armaty.

Mechanika więc przyszła na usługi młodego świata, i zaczęła wyrabiać rozmaite dowcipne zabaweczki i zabawki, tworząc ptaszki śpiewające i skaczące, młyny poruszane za pomocą korby, i tysiączne inne drobnostki których spamiętać nie podobna.

Niemcy i Francuzi zaczęli przesadzać się w pomysłach, wprowadzając do świata zabawek brzydkie i potworne karykatury, z aluzyami do politycznych przekonań i nienawiści rodowej, i biorąc za to w Warszawie wcale dobre pieniądze.

Z pomiędzy tej plejady zabawek i figielków, niektóre są nawet bardzo zajmujące lub dowcipnie pomyślane, tak że nawet oko starszego człowieka z zadowoleniem i zajęciem może się na nich zatrzymać.

Gdyby kto chciał zadać sobie pracę i zebrawszy stare zabawki z kilkudziesięciu przypatrzył się im uważnie, to znalazł by z pewnością nie jeden charakterystyczny rys chwili w której były zrobione, nie jeden ślad obyczajów, pojęć nawet ówczesnych.

Dość będzie powiedzieć, że gdy przed kilkunastu laty widzieliśmy tylko lalki, koniki i szabelki, dziś spostrzegamy całkowite, najkompletniej urządzone maszyny parowe, tramwaye, omnibusy, statki parowe... brakuje tylko akcyi i bankructw w miniaturze, a będzie istotny obrazek dzisiejszego czasu!

W jednym magazynie zdarzyło nam się widzieć miniaturową lokomobilę; ogrzewana ze spodu spirytusem, porusza ona koło rozpędowe wielkości pięciokopiejkowej monety i za pomocą „pasa transmisyjnego" z nitki jedwabnéj, wprawia w ruch maleńką pompkę. Rzeczywiście musicie przyznać, że to zajmujące cacko, mogące zająć miejsce w każdym gabinecie szkolnym, daleko lepiej objaśni chłopcu sposób działania pary, aniżeli książka z najlepszemi rysunkami.

Pedagogia zwróciła uwagę na zabawki dziecinne i w pewnej części poddała je sobie, czyniąc z nich narzędzie, środek do wpojenia w młodociane główki zamiłowania myśli, do nauczania bądź to pracy fizycznéj, bądź ćwiczeń umysłowych, i oto powstały łamigłówki, domki układane z kawałków drzewa, pałacyki, kioski i t. d. Przed oczami dzieci otwierają się pudełka napełnione narzędziami rzemieślniczemi w miniaturze, i dziecko staje się małym ogrodnikiem, introligatorem, stolarzem, bawi się i nabiera zamiłowania do pracy. Figurki geometryczne uczą je rozpoznawać kształt figur i obznajamiać się z zasadniczemi prawami matematyki, i dziecko samo nie wiedząc kiedy, nabywa różnych potrzebnych mu wiadomości.

Pedagog niemiecki Fryderyk Froebel nauczanie za pomocą zabawek podniósł do wysokości systematu pedagogicznego, dziś powszechnem cieszącego się uznaniem w całéj ucywilizowanéj Europie, a stworzywszy ten system dowiódł jasno, o ile praktycznym jest ten rodzaj nauczania, o ile łatwiej przyjmuje się w młodocianym umyśle.

Pierwszy „ogródek dziecinny" urządzony w Blankenburgu turyngskim, ściągnął na Froebla uwagę pedagogów niemieckich, a dzisiaj jego sposób nauczania zjednał sobie uznanie powszechne.

Piękna zasada „ridendo docere" (bawiąc nauczać), w dziecięcym świecie ma ogromne zastosowanie. Trzeba zwracać baczną uwagę na wszystko a więc i na zabawki, trzeba je wybierać rozsądnie, a najlepiej wybierać takie, z których młodociany umysł korzyść jaką osiągnąć może, która go rozwijać, do zastanawiania się i myślenia usposabiać może.

Zabawka—głupstwo, może kto powiedzieć; cóż ważnego, czy taką lub owaką będzie się dziecko bawiło. I tak mówi bardzo wiele rodziców. Rzeczywiście trzeba przyznać, zabawek szkodliwych dotychczas u nas niema. Konik, pajac skaczący na nici, i tym podobne figielki, złego wpływu na dzieci nie wywierają—ale są, jak powiedzieliśmy wyżej, zabawki które wywierają wpływ bardzo pożyteczny, rozwijają umysł, zajmują dziecko, usposabiają do myślenia i zastanawiania się, poruszają młodą główkę, zmuszając ją do pewnych ćwiczeń mózgowych.

Dla czegóż więc ignorować ten ostatni wzgląd przy wyborze zabawki, dla czego pozbawiać dziecku to, co nie ma żadnéj wartości, kiedy można je obdarzyć czemś takiem, co mu korzyść, pożytek przyniesie.

W wychowaniu dziecka nie powinna być zaniedbaną żadna sposobność dająca się korzystnie zużytkować, na każdym kroku trzeba je gimnastykować i rozwijać tak moralnie jak i fizycznie, a wtenczas zadanie wychowującego w zupełności spełnione będzie.

Dla tego też i w tym razie, to jest przy wyborze zabawek, nie należy pomijać sposobności kształcenia takiego, które dziecko przyjmuje niepostrzeżenie prawie, które jest dla niego nierównie więcej zajmującem i ponętnem aniżeli książka.

Zdaje nam się że te kilka słów szczególniej dzisiaj mogą być na dobie. Szczególniej dziś, gdy zwyczaj obowiązuje niejako każdego ojca, aby malcom swoim jakąś zabawkę na gwiazdkę sprowadził.

Kończąc na tem pobieżną historyczną wzmiankę o zabawkach, i te kilka słów o ich pedagogicznem znaczeniu (do którego to przedmiotu Redakcya „Ogniska" nie raz jeszcze zapewne powróci), chcemy zrobić pewną dosyć smutną uwagę, która mimowoli podsuwa się pod pióro.

Handel zabawkami dziecinnemi jest jedną z większych gałęzi handlu, gdyż corocznie najmniej za kilka kroć sto tysięcy rubli kraj potrzebuje tego towaru. Wszystkie te zabawki dostarczane są prawie bez wyjątku z zagranicy, gdyż u nas nie istnieje ani jedna fabryka zabawek.

Dla czego? czy dla braku odpowiedniego materyału? to przecież być nie może, gdyż tektury, drzewa i metali mamy dosyć, ale nie mamy tej przedsiębierczości którą odznaczają się nasi sąsiedzi, i z którą im tak dobrze się dzieje. Jak za wiele innych przedmiotów, które moglibyśmy mieć na miejscu, tak też i za zabawki massę pieniędzy wysyłamy za granicę, bogacąc ruchliwych i energicznych fabrykantów sąsiednich, którzy drogo każą płacić za swoje wyroby. A jednak fabryka zabawek na obszerną urządzona skalę i produkująca dobry towar ma wszelką racyę bytu, i mogłaby robić bardzo korzystne interesa; a pieniądze które w takiej masie wychodzą corocznie zagranicę, pozostałyby w kraju, dając zarobek tutejszym robotnikom. Trzeba tylko trochę więcej przedsiębierczości i trochę więcej życia w tych panach kapitalistach, którzy ulokowawszy swoje summy w listach zastawnych, siedzą cały dzień boży założywszy ręce, zamiast coby mieli się wziąść do jakiegoś zatrudnienia bardziej skomplikowanego aniżeli obcinanie kuponów i odczytywanie tabeli wylosowanych listów.

Skończyliśmy — a młodym naszym czytelnikom przy nadchodzącej gwiazdce życzymy, aby na przyszły rok mieli bardzo dużo i bardzo pięknych zabawek—z fabryki krajowéj.

Z DOMU I DLA DOMU.

— **Potrawa z swojskich lub dzikich kaczek na winie.** Dwie kaczki w rondlu poddusić z plasterkami słoniny i włoszczyzną, potem je wyjąć i rozebrać, a do pozostałości wlać kwaterkę białego i czerwonego wina, nieco rosołu, dodać kilkanaście drobnych upieczonych cebulek, zebrać z wierzchu tłustość, zaprawić trochą uprażonéj w maśle mąki, zagotować i przetrzeć wszystko przez sito. Kawałki kaczek rozebranych ponakrawać i zacisnąć sokiem gorzkich pomarańczek, włożyć w sos i dobrze w nim zagotować. Przed wydaniem krótko wrzucić do sosu gorzkich pomarańczek, przygrzać mocno, ale aby się nie zagotowały, nakoniec wydać na stół.

Druk J. Noskowskiego, Mazowiecka Nr. 11. Дозволено Цензурою, Варшава 12 (24) Декабря 1875 г. Wydawca i Redaktor, **Bronisław Przyrembel.**

PRZYSIĘGA DEBENHAMA

POWIEŚĆ,

przez

AMELIĄ B. EDWARDS,

z angielskiego tłómaczona.

Tom drugi.

(Dalszy ciąg.—Patrz dodatek do Nr. 64.)

— Artysta tylko, powiadał, może ocenić jak trudno jest mieć do czynienia z podobnym przedmiotem. Lord Sandilands nie mógł nawet zrozumieć dla czego Kameshill, które jest jednym z najpiękniejszych zamków w Anglii, musiało być z taką oględnością przeniesionem na płótno. Chciał żebym go odmalował od frontu ze wszystkiemi oknami i szczelinami i z tą długą ozdobną balustradą rysującą się na niebie. „Panie Albyne, mówił, ten dom sam przez siebie jest obrazem." Odpowiedziałem że musiałem mieć zupełną swobodę. Słyszałem, mylordzie, powiedziałem, o artyście, który z profilu zrobił portret naczelnika dzikiego pokolenia, i został natychmiast powieszony, dla tego że obraził majestat królewski malując go tylko z połową twarzy. Chociaż nie lękam się tak okropnej zemsty z twojej strony, wolę ci od razu powiedzieć, że muszę z boku wymalować Kameshill i w perspektywie oddać te nieskończone proste linie".

— To doskonałe! powiedział jeden z nieznajomych, śniady mężczyzna o wąsach długich na ośm lub dziewięć cali. Byłbym chciał widzieć twarz Sandilandsa kiedy go porównałeś do naczelnika dzikiego pokolenia.

— Ale myślałem że tak się zna na obrazach i posągach i wszystkich podobnych rzeczach, wtrącił drugi, młodzieniec o rudych włosach i ze szkiełkiem w oku. Dom jego pełen tego.

— Inna to rzecz, sir Reginaldzie, osądzić obraz kiedy już skończony, a wiedzieć naprzód jak powinien być zrobionym, rzekł p. Albyne.

— A! bez wątpienia. Ja, naprzykład, wiem doskonale czy surdut dobrze lub źle leży, ale nigdybym nie potrafił powiedzieć jak go skroić.

— Ten wielki i dobry król, Jerzy czwarty, więcej umiał od ciebie pod tym względem, mój kochany, powiedział pierwszy nieznajomy, bo królewskiemi swemi rękami sam zawsze krajał swoje surduty. Był to wielki przyjaciel lorda Sandilands, panie Albyne. Pamiętam że mi pokazywano w Kameshill pokoje które zajmował kiedy tam przebywał.

— Są one jeszcze zachowane w tym samym stanie, powiedział p. Albyne, i jest także pokój nazwany pokojem Sheridana; mieszkałem w nim kiedy tam byłem przeszłej jesieni.

I odwracając się do Arczybalda rzekł:

— Słyszałem, panie Blyth, że twój przyjaciel lord De Benham żeni się z panną Hardwicke.

Arczy spodziewał się ciągle tych słów, ale pomimo tego zaczerwienił się po uszy.

— Czytałeś to pan w gazetach, powiedział zmięszany.

— Tak. To zapewne prawda?

— Tak; zdaje mi się.

Nie wiedział co mówił, nie śmiał spojrzeć na pannę Albyne; tymczasem nieznajomi słysząc że mówiono o De Benhamie jako o jego przyjacielu, przyglądali mu się z ciekawością, co powiększało jeszcze jego pomięszanie.

— Bardzo mnie to cieszy, rzekł p. Albyne. Jestto prawdziwie szczęśliwy człowiek; dostaje razem piękność i majątek. Panna Hardwicke jest, zdaje mi się, twoją kuzynką, panie Blyth?

— Jesteśmy trochę spokrewnieni, powiedział Arczy wahając się, w drugim czy trzecim stopniu.

Byłby chętnie w tej chwili zupełnie się wyparł wszystkich stosunków rodzinnych z Hardwickami, gdyby był mógł to uczynić.

— Nigdy nie widziałem równie pięknéj kobiety, ciągnął dalej p. Albyne. Gdybym był o dwadzieścia lat młodszy, zakochałbym się niezawodnie w niej.

Goście wyszli niedługo z panem Albyne, który chciał im jeszcze pokazać piękny obraz znajdujący się w jadalnym pokoju, i niedawno kupiony za bezcen, bo p. Albyne, znając się na rzeczy, lubił odkrywać i kupować arcydzieła i posiadał kilka, któremi słusznie mógł się szczycić.

— Mieliśmy ciągle gości dziś i wczoraj, powiedziała panna Albyne kiedy odeszli; a wszyscy równie nudni; ciągle to samo powtarzają; nie zabawna to rzecz to pokazywanie obrazów.

— To prawda, rzekł Arczy i na tem się zatrzymał. Na próżno się starał wynaleźć nowy przedmiot do rozmowy, a wiele jednak byłby dał, żeby módz mówić swobodnie.

Panna Albyne nagle zamknęła tekę i poszła do pieca, bo pracownia nie miała kominka tylko w najciemniejszym kącie duży, kwadratowany piec z białych kafli, z długą czarną rurą przechodzącą przez ścianę. Panna Albyne nachylając się nad ogniem, tyłem stała odwrócona do Arczybalda i do obrazów.

— Panie Blyth, powiedziała niedługo, głosem cichym ale wyraźnym i spokojnym, dla czego mi o tem nie powiedziałeś?

— Jakżebym mógł, powiedział Arcz.., jakżebym mógł pani przykrość zadawać!

— Przykrość! powtórzyła prędko; ale kiedy przykrość jaka nam grozi, czy nie lepiej od razu ją znieść i zwyciężyć cierpienie jakie nam sprawia?

Arczy nic na to nie odpowiedział, nie będąc pewny czyby tak łatwo zwyciężyła to cierpienie.

— Od jak dawna wiesz pan o tem? zapytała po chwili.

— Od kilku tygodni.

— Od wielu? od trzech, czterech, sześciu?

— Od pięciu czy sześciu tygodni.

— I mają się pobrać za miesiąc, mniej, niż za miesiąc. Jak to dziwnem się wydaje!

Arczy znów milczał, po części dla tego że więcej do siebie jak do niego mówiła, po części także dla tego, że miał nieokreślone uczucie, że im mniej mówił tem lepiej było.

Znów niedługo zaczęła i tą razą głos jéj był trochę drżący.

— Czy myślisz pan że potrafi go uszczęśliwić?

— Nie... doprawdy, niewiem, rzekł Arczy; nie zdaje mi się. Wiem żebym ja nie był z nią szczęśliwy.

— Ale jeżeli go kocha...

Arczy wzruszył ramionami.

— I jeżeli on ją kocha...

— Jestem pewny że on nic o nią nie dba, powiedział Arczy wybuchając, ani ona o niego.

Panna Albyne odwróciła się z wyrazem przerażenia na twarzy.

— O nie, panie Blyth! zawołała, to nie prawda! to niepodobieństwo!

— Prawda owszem; jestto po prostu interes: on chce pieniędzy, a ona stanowiska i tytułu. O ile mogłem widzieć, nie udają nawet żeby się kochali.

Panna Albyne usiadła kryjąc twarz w rękach.

— Jakże to okropnie! powiedziała z dreszczem oburzenia.

— Ludzie godzień tak robią.

— Ale jacy ludzie? Nie tacy jak... jak...

Arczy zagryzł wargi żeby nie wymówić gorzkich słów jakie na myśl mu przychodziły.

— Nie ludzie wierni i uczciwi, odpowiedział. Nie tacy jak ty, panno Albyne.

— Wierni i uczciwi! powtórzyła z głębokiem westchnieniem. Zdaje mi się że już nigdy nie będę wierzyć w uczciwość i wierność.

— Nie mów tego, panno Albyne, nie mów tego! Jest ktoś któryby był wiernym, zawsze, w każdej przygodzie, który cię kocha tysiąc razy więcej niż cię De Benham kochał... O-tóż! wiem że nie powinien był tego mówić, wiem że to wszystko naprożno... Głupstwo, szaleństwo popełniłem, i teraz zakażesz mi pani tu przychodzić, i będę nieszczęśliwym jak pies!

— O panie Blyth! tak mi przykro!

Nic więcej nie powiedziała, ale na twarzy jej malowały się zdziwienie i litość, i głos jej brzmiał dziwnie słodko.

— Jeżeli pani przykro, to mi nie każ odchodzić.

W tej chwili pan Albyne powrócił zadowolony i uśmiechnięty.

— Bardzo mili, przyjemni ludzie, powiedział, pułkownik Bamfylde i sir Reginald Galbraith, znajomi lorda Sandilands; prosili mnie jutro na obiad. Ten sir Reginald, jestto młody człowiek wielkiego majątku i większych jeszcze nadziei, baronet, posiada znaczne dobra na północy i jest domniemywanym dziedzicem swego kuzyna, hrabiego Invercairn. Jego matka, jeżeli dobrze sobie przypominam, była z domu Carnegie; ma włosy i oczy Carnegiów. Nie mam, zdaje mi się, innego zaproszenia na jutro, nieprawda Julko? żadnego ważnego przynajmniej, bobym był pamiętał

— Prosiłeś pana Prosser i jego brata na wieczór, odpowiedziała córka.

— Pana Prosser i jego brata? Prawda; musisz napisać do nich odpraszając ich; obiecałem książki temu młodemu Prosserowi; poszlesz je wraz z bilecikiem. A teraz, kochanko, spodziewam się że nie będziemy mieli więcej gości dzisiaj i że nam dasz herbaty.

Ale Arczy porwał za kapelusz, mówiąc że musiał odejść.

— Jakto, tak prędko? Wprawdzie herbata od czwartej jnż na nas czeka i nie wiele musi być warta. Ale przyjdziesz może pan na obiad w Niedzielę.

Biedny Arczy! Pierwszy to raz p. Albyne prosił go na obiad, i wiedział że to zaproszenie było dowodem wielkiej łaski. Byłby głowę dał żeby je przyjąć; wahał się więc, rzucił ukradkiem spojrzenie na pannę Albyne, która powróciła do teki i zajęta była wiązaniem tasiemek, i pomimo że tak ciężką była pokusa, wymówił się.

— Zda... zdaje mi się że nie mogę w niedzielę; bardzo mi przykro, powiedział, bo byłoby to dla mnie wielką przyjemnością.

Spójrzał znowu na pannę Albyne; najmniejszy uśmiech albo nawet spojrzenie byłoby wystarczyło) ale ani uśmiechu ani spojrzenia się nie doczekał. Rozstali się bardzo zimno.

— Szkoda że się pan tak spieszysz, powiedział pan Albyne odprowadzając go do drzwi. Byłbym chciał się dowiedzieć szczegółów o małżeństwie twego przyjaciela. Czy to

prawda że narzeczona ma dwakroć sto tysięcy funtów majątku?

— O! więcej, dużo więcej, odrzekł Arczy schodząc już na dół.

— Cóż to za szczęśliwy człowiek! Kobieta tak bogata jak gdyby brzydką była, a tak piękna jak gdyby była ubogą.

Ale Arczy już tego nie słyszał, a że p. Albyne nie lubił żeby jego dowcipy stracone były dla ludzkości, poszedł córce powtórzyć swój koncept.

Jakże trudno czasem słuchać, uśmiechać się i gwałt zadać uciekającym myślom! P. Albyne ani się domyślał jak ciężko było na sercu jego ślicznej Julce, kiedy chwaliła smutny jego żart.

Tymczasem Arczy chodził przeklinając swą nieszczęśliwą gwiazdę i rozpaczając nad szaleństwem jakie popełnił. Jakiż zły duch go natchnął żeby w takiej chwili się odzywać? Nigdy, od czasu kiedy tam bywał, nie byłby mógł wybrać gorszej chwili do oświadczenia się. Czyż ciągle sobie nie powtarzał, że jedyna jego nadzieja, jeżeli mógł mieć nadzieję, musiała być bardzo oddaloną, że trzeba było czekać dopóki De Benham się nie ożeni i rzeczy do zwykłego trybu nie powrócą? Czyż nie postanawiał że będzie czekał w milczeniu, zasługując na jej przyjaźń, starając się zyskać jej zaufanie, otaczając ją staraniami i nie zdradzając się ani słowem, ani spojrzeniem, dopóki nie nadejdzie chwila, w której będzie czuł że może wyjawić swą miłość? A teraz, w szaleństwie swojem, na zawsze może zniszczył tę nadzieję.

Zwykle wsiadał na wierzch omnibusa i błogo używał przejażdżki paląc cygaro, ale dzisiaj nie dbał o żadne przyjemności, i szedł prosto szybkim krokiem, czując ochotę rozbić sobie głowę o każden mur który spotykał i karmiąc się gorzkiemi myślami.

Kiedy wyszedł z parku było już prawie zupełnie ciemno i latarnie po ulicach zapalano po trochu. Przypomniał sobie właśnie, że w bliskiej ztamtąd uliczce kupował niegdyś w ciemnym sklepiku tytoń, pewną mieszaninę, której palenie pozostawiło mu najmilsze wspomnienie. W smutku swoim chciał sobie tę pociechę sprawić, zwrócił się więc ku Mill Street (tak się nazywała uliczka), wyszukał sklep, i zażądał od młodej osoby pochodzenia wschodniego pół funta wyżej wzmiankowanej mięszaniny; potem kupił cygaro i zapalił je przy płomyku gazowym, umieszczonym na ten użytek przy wejściu do sklepu.

Sklep ten był skąpo oświecony, ulica w tem miejscu była wązka i ciasna, noc już zupełnie zapadła a płomyczek gazu rzucał żywy płomień tylko na przestrzeń bruku znajdującą się wprost przed nim. Stojąc obok tego płomienia, ale nie pod nim, Arczy, zapaliwszy cygaro i włożywszy swoje kupno do kieszeni, zatrzymał się chwilę przed drzwiami, patrząc przed siebie z roztargnieniem i myśląc ciągle o szaleństwie jakie popełnił.

Wtedy właśnie, powóz szybko pędzący zatrzymał się na początku uliczki, o kilka domów od sklepu z tytoniem, i z niego wysiadł wolno i jakby z trudnością mężczyzna, który przerachowawszy pieniądze pod latarnią, zapłacił dorożkarza. Było już tak ciemno, i myśli jego tak zajęte były czem innem, że Arczy, chociaż widział ten bardzo prosty wypadek, zupełnie na niego nie zważał, dopóki coś znajomego a zarazem dziwnego w powierzchowności i obejściu tego człowieka nie zwróciło jego uwagi.

Odprawiwszy, jak mówiliśmy, powóz, stał on przez chwilę na tem samem miejscu, oglądając się na wszystkie strony, jak gdyby się obawiał żeby go nie śledzono, i potem dopiero poszedł prosto przez Mill Street, trochę pochylony, i tak blizko sklepu z tytoniem przeszedł, że gdyby Arczy nie był się cofnął mimowolnie, byłby dosłownie obtarł się o niego. W tej chwili też płomień gazowy oświecił jego twarz i Arczy poznał De Benhama.

Zdziwienie jego było tak wielkie, że zamiast zawołać na przyjaciela i pobiedz za nim, jak byłby zwykle uczynił, patrzał tylko za nim, stojąc ciągle na miejscu. Widział jak niedługo stanął na miejscu i znowu na około się oglądał, potem przeszedł na drugą stronę ulicy i postępował dalej, nie postrzegłszy że już Arczy za nim podążał.

ROZDZIAŁ XXII.

Dziwactwo chorego.

Mill Street zwraca się przy końcu trochę na lewo i zwęża się jeszcze, zamieniając się nareszcie na przykryte przejście dla pieszych. Jestto dziwny i ciemny zakątek, ulubiony przez zbieraczy starych książek i różnych starożytnych przedmiotów, których kupcy tu mają siedzibę, i przez wszystkich ludzi śpieszących się z obowiązku lub z upodobania, i wyszukujących najkrótszej drogi. Tem przejściem, Temple De Benham, a za nim Arczy, puścili się i wyszli na Savile Row.

Gdzie się mógł Temple udawać o tej godzinie z taką ostrożnością? Dla czego ta staranność żeby nie być widzianym? Dla czego ta tajemnica? Arczy zapewne, kiedy tak zaczął śledzić przyjaciela, nie pomyślał, że jeżeli tkwiła w tem jaka tajemnica, nie miał żadnego prawa w nią wglądać.

Tymczasem De Benham postępował jedną stroną ulicy a Arczy za nim, drugą; niedługo jeszcze raz się zatrzymał i obejrzał, a Arczy spodziewając się tego schował się czemprędzej w wklęśnięcie drzwi wchodowych, udając że czeka żeby mu otworzono. De Benham więc uspokojony przyśpieszył kroku i nareszcie stanął przed domem trochę większym od innych, zadzwonił i został zaraz wpuszczony.

Był to dom ponurej powierzchowności, bo żadne z licznych okien nie było oświecone. Arczy przeszedł także żeby go z blizka obejrzeć; na drzwiach był numer i blacha miedziana; mógł rozeznać numer, ale tak było ciemno, gdyż latarni żadnéj w pobliżu nie było, że nie mógł wyczytać nazwiska wypisanego na blasze; zdjął nawet rękawiczkę żeby wymacać litery, ale napróżno. Policyant przechodzący obok spojrzał na niego podejrzliwie; w tej samej chwili usłyszał wewnątrz kroki i głosy, i odskoczył szybko, jak gdyby rzeczywiście miał jakie zamiary rozboju. Poszedł trochę dalej i przez kwandrans nie spuszczał domu z oka, oczekujac czy De Benham nie wyjdzie.

Gęsty deszcz zaczął padać, i Arczy opuścił swoje stanowisko i schronił się do poblizkiej kawiarni, gdzie kazał sobie podać filiżankę kawy i księgę adresową miasta Londynu.

Niedługo znalazł czego szukał: ulicę, numer i nazwisko, a było to imie dobrze mu znane sławnego lekarza, baroneta, autora, człowieka używającego europejskiej sławy, jednego z luminarzy świata naukowego: sir Bartłomieja Baxter.

Tajemnica była więc wyświeconą, i Arczy zapijając kawę, dziwił się że jej od razu nie odgadł. Ulica ta była głównie zamieszkana przez lekarzy na wszystkie ludzkie dolegliwości; a De Benham, pomimo swych twierdzeń, był nietylko chory, ale znajdował się w tym stanie właśnie, w którym człowiek, chociaż nie podlega żadnej określonej chorobie, zdaje się tracić codzień siły i życie. Odwiedzanie ukradkiem lekarza było zupełnie w zgodzie z uporem z jakim zaprzeczał że był cierpiącym. Dziwne to było jednak ze strony człowieka rozsądnego, wstydzić się że był chorym; bo jeżeli się tego nie wstydził, dla czego tak ciągle temu zaprzeczał? Czy nie chciał przestraszać matki? mógł jednak być pewnym, że powierzchowność jego tak zmieniona nie mało niepokoiła to kochające serce. Czy też, w chwili tak blizkiej swego ślubu, obawiał się, przyznając się do choroby, sprawić opóźnienie?

W każdym razie przyjemnie mu było wiedzieć, że De Benham nareszcie miał jakieś staranie o sobie, i że się w tak doskonałe ręce oddał, jak ręce sir Bartłomieja Baxter.

Tak wytłómaczywszy sobie tę przygodę, Arczy więcej o niej nie myślał, i gdyby nie nowe zdarzenie, byłby zupełnie o niej zapomniał.

Savile Row nie tylko jest przybytkiem lekarzy i chirurgów; mieści także sklep, lub grzeczniej się wyrażając, zakład najsławniejszego londyńskiego krawca, mającego zaszczyt ubierać książąt krwi i najpierwsze osoby w kraju. Arczy Blyth marzył, jako o niedostępnem szczęściu, o możności ubierania się u niego; ale marzenie to postanowił teraz urzeczywistnić i na weselu De Benhama ukazać się w stroju wyszłym z rąk sławnego człowieka. Sposobność taka usprawiedliwiała podobną rozrzutność; Arczy nie spodziewał się drugi raz w życiu być drużbą na ślubie lorda.

W tydzień więc po owym wieczorze udał się do sławnego krawca; było to bardzo rano, pomiędzy ósmą i dziewiątą, gdyż chciał korzystać z godzin jakie miał przed pójściem do kantoru. Arystokratyczny zakład zaledwie był otwarty i miano może w nim za złe Arczybaldowi, że tak rano się przedstawiał; nie zważając na to kazał miarę wziąść, rozkazy swoje wydał co do obstalunku, i wychodził uradowany, kiedy na ulicy ujrzał przed sobą Templa De Benham.

— Jakto! Arczy? zawołał De Benham, widocznie zmięszany. Któżby myślał że cię tu można spotkać, i o téj godzinie, tak rano?

— Cóż tak nadzwyczajnego w tem? Kiedy ostatni raz ciebie tu spotkałem, było to wieczorem, i szedłeś do sir Bartłomieja Baxter.

De Benham zaczerwienił się.

— Co to znaczy? powiedział z gniewem. Co ci do...

To powiedziawszy, zatrzymał się zmięszany.

Ale Arczy przypomniawszy sobie że miał do czynienia z człowiekiem chorym, żałował już swoich słów.

— Co mi do tego? powiedział łagodnie. Tyle mnie to przynajmniej obchodzi, że się cieszę że nareszcie robisz to co powinieneś. Cóż ci powiedział sir Bartłomiej?

— Niewiedzieć dlaczego sobie wyobrażasz że byłem u niego żeby się poradzić, rzekł De Benham coraz więcéj niezadowolony.

— Naturalnie że tak myślę Ale nie mówmy o tem kiedy tak wolisz.

Szli wolno przed siebie tak rozmawiając, i kiedy doszli do końca ulicy, zwrócili się jakby się tajnie umówili i znowu wolno jeden obok drugiego postępowali; wtedy dopiero De Benham zaczął znowu.

— Jeżeli wolę nic nie mówić, Arczy, powiedział, to nie przez brak pamięci lub wdzięczności względem ciebie. Nie zapomniałem jak mnie pielęgnowałeś w dzień i w nocy kiedy byłem chory, sam, umierający; tego nigdy nie będę mógł zapomnieć, kochany i drogi przyjacielu (i tutaj położył rękę na ramieniu Arczybalda); ale... ale może jestem zanadto niespokojny o swoje zdrowie... i to bez wystarczających powodów... i postanowiwszy nikomu nie mówić... Jestem pewny że rozumiesz to co chcę powiedzieć...

— Nie wiem co chcesz żebym rozumiał

powiedział Arczy, mówiąc co myślał, ale ja to rozumiem, że ci się zdaje że jesteś na złej drodze i że chcesz żeby nikt, oprócz doktora, o tem nie wiedział.

De Benham w niecierpliwości swojéj wyrwał rękę.

— Nie, nie, nie, powiedział rozdrażniony. Zupełnie mnie nie pojmujesz. Nie zdaje mi się wcale żebym był na złéj drodze; nie wątpię nawet że sobie wyobrażam iż jestem słabszy niż nim jestem rzeczywiście, i wiem że nie mam żadnéj organicznéj choroby, zupełnie żadnéj. Sir Bartłomiéj Baxter zapewnił mnie o tem.

— Nie wiem więc dla czego...

— Otóż to właśnie. Nie możesz wiedzieć dla czego nie chcę o tem mówić, a ja nie mogę ci wytłomaczyć dla czego nie chcę, chyba że ci powiem, że to jest dziwactwo chorego. Zdaje mi się jednak, że dziwactwo chorego powinnoby być dostatecznym powodem.

— O! z pewnością.

— Będę ci wdzięczny jeżeli nic o tem nie powiesz.

— O czem? zapytał Arczy.

— O naszéj dzisiejszéj rozmowie.

— Bardzo dobrze, nie wspomnę o niéj.

— Ani... ani o sir Bartłomieju Baxter.

Arczy obiecał wszystko czego chciał przyjaciel, ale dodał, że pragnąłby wiedzieć z pewnością że De Benham nie był tak chory jak się wydawał.

— Mniejsza o to jak wyglądam, odrzekł De Benham, dopóki nie ma żadnéj organicznéj choroby. Potrzebuję tylko zmiany miejsca i powietrza, i za miesiąc będę zdrów jak dawniéj.

Spojrzał potem na zegarek i powiedział że nie ma chwili do stracenia.

— Muszę być u pewnéj osoby, powiedział, o trzy kwandranse na dziewiątą, a zaledwie minuty brakuje.

— Jesteś właśnie przed jego domem, odrzekł Arczy, nie wątpiąc do kogo się udawał.

De Benham znów się zaczerwienił.

— Prawda, powiedział prędko, prawda. Ale sir Bartłomiej nie wie kto jestem i zupełnie mnie nie zna, nie przychodźże więc tu nigdy dowiadywać się o mnie.

— Nie, nie, nigdy.

— I wiem że wiernie dotrzymasz także tamtéj obietnicy.

Arczy raz jeszcze odpowiedział: — Dobrze, i doszedłszy do mieszkania sir Bartłomieja Baxter, ścisnęli się za ręce i rozeszli.

ROZDZIAŁ XXIII.

Przed ślubem.

Ostatni miesiąc przed uroczystością zapowiedzianą na 25-go kwietnia, minął jak zwykle mija czas w podobnych okolicznościach, to jest wśród mnogich zajęć, i dla tego bardzo prędko. Panna Hardwicke była po większej części zatrudniona swoją wyprawą, a De Benham rozpatrywał się w planach i kosztorysach, bo pod jego kierownictwem rozpoczęto roboty odnowienia w Benhampton, i wszystko urządzał, żeby w jego nieobecności daléj były prowadzone. Matka jego, dla któréj przygotowywano pokoje w nowych budynkach, postanowiła osiąść w domu znajdującym się pomiędzy Monmouth i Benhampton i będącym do wynajęcia z całem urządzeniem, a on życzył sobie widzieć ją osiedloną w nowéj siedzibie przed swoim wyjazdem z Anglii. Był to ładny domek, z ogrodem, łączką, stajnią na jednego konia i wozownią; ale wiele tam rzeczy brakowało żeby go uczynić wygodnym, i młody człowiek starając się go przysposobić, wiele czasu i myśli musiał mu poświęcić. Były także różne prawne akta do załatwienia i pełno drobniejszych spraw któremi musiał się zajmować.

Narzeczeni więc mało mogli się widywać przez ten czas. De Benham ciągle wyjeżdżał do Monmoutshire, a niedługo panna Hardwicke także opuściła miasto, życząc sobie przepędzić ostatnie dwa tygodnie w zamku brata w Kent, dawnym, nieregularnym domu z czerwonéj cegły, ozdobionym wieżyczkami i śpiczastemi dachami, sięgającym czasów królowéj Elżbiety a kupionym temu lat czterdzieści przez jéj ojca.

De Benham dwa razy jednak ją odwiedził w ciągu tych dwóch tygodni; pierwszy raz przyjechał na godzinę przed obiadem, i odjechał nazajutrz bardzo rano, a drugą razą bawił od soboty do poniedziałku. Ale wtedy nawet mieli tyle interesów o których mówić musieli, że odwiedziny jego tak mało były podobne do odwiedzin kochanka, jak tylko można było sobie wyobrazić. Rozmawiali kiedy byli razem o bramach, skrzydłach budynku, o wieżycach i galeryach, o kapitelach i rzeźbiarskich ozdobach i t. p., a czasem także o umieszczeniu kapitałów, o zakupnie dóbr, ale nigdy o szczęśliwych latach które mieli razem przepędzić, o słodkich obietnicach, o złotych nadziejach, o przyszłości wesoło przed niemi się roztwierającéj.

De Benham jednak spełniał dokładnie wszystkie obowiązki swego położenia, szczególnie za drugą swoją bytnością; w niedzielę w kościele siedział obok Klaudyi w wielkiej i wygodnej familijnej ławce, modlił się z jej książki, spacerował z nią po ogrodzie przed obiadem, słowem nie zaniedbał żadnego z tych hołdów i grzeczności, jakie należą się od narzeczonego kobiecie, która ma za tydzień zaledwie uszczęśliwić go swoją osobą; bo kiedy De Benham do niej przyjechał w sobotę wieczór, ślub miał się odbyć w Londynie w przyszły czwartek.

Jednakowo, teraz nawet kiedy przechadzał się z nią, mówił z nią, siedział przy niej i nazywał ją po imieniu, zdawało mu się że nie mógł uwierzyć jeżeli ona doprawdy miała zostać jego żoną, że za kilka dni będą złączeni nierozerwalnym węzłem, że przez ośm albo dziesięć następnych miesięcy, a może i dłużej, będą zupełnie sami we dwoje, obcy w obcym kraju, obcy nawet jedno drugiemu. Pytał się czasem siebie o czem będą mówić podczas tych długich wieczorów, które będą musieli samotnie spędzać w hotelach szwajcarskich lub włoskich. Jakież wspólne upodobania, nawyknienia mieć mogli? Czy ją kiedy lepiej pozna, niż ją znał teraz? I pomyślał z rodzajem rozpaczy o tej odległéj chwili, kiedy, jeżeli oboje jej dożyją, oboje będą starzy i znudzeni, znudzeni temi długiemi latami i znudzeni sobą.

— Zdaje mi się że dobrzebyśmy zrobili jadąc aż do Amiens, powiedział, gdy siedzieli razem w niedzielę wieczór i mappa Europy rozłożona była pomiędzy niemi na stole. Wyjedziemy z Londynu o dwunastéj a o trzydzieści pięć minut po szóstej będziemy już w Boulogne. Za parę godzin moglibyśmy dojechać do Amiens, gdzie zamiast błota i gwaru właściwych Boulogne, znajdziemy starożytne miasto i piękną katedrę.

— Niecierpię Boulogne, rzekła panna Hardwicke.

— Czy tylko nie będzie to zanadto męczącem?

— Nie dla mnie. Zawsze wprost jechaliśmy do Paryża.

— Nasze mieszkanie jest już zamówione w Paryżu, powiedział De Benham; prosiłem o salon z oknami wychodzącemi na ogród Tuileries.

— To będzie bardzo przyjemnie, odpowiedziała, i przez kilka minut milczeli oboje. Pan Hardwicke tymczasem drzemał nad gazetą w przyległym salonie.

— Będziemy zapewne w Lucernie od soboty za tydzień,mówił dalej De Benham; rachuję że pięć dni przebędziemy w Paryżu, dzień jeden z Paryża do Troyes, drugi z Troyes do Bazylei, a trzeci z Bazylei do Lucerny.

— Najlepszy hotel w Lucernie jest Schweizerhof, rzekła panna Hardwicke.

— Lękam się, że Szwajcarya już ci nic nowego nie przedstawi, Klaudyo, powiedział De Benham.

— Nie dbam o nowość, odpowiedziała obojętnie.

— Większa część Włoch będzie jednak nową dla ciebie.

— Tak; znam tylko Medyolan i Florencyę:

— Patrz, mówił De Benham, palcem wskazując różne miejscowości, oto nasza droga, Florencya, Rzym, Neapol, Sycylia, Cefalonia. Korynt, Ateny, Dardanele, Konstantynopol. Tu kres naszej podróży, tu zwrócimy się na zachód. Z Konstantynopola do Tryestu statkiem parowym, Wenecya, Wiedeń, Praga, Drezno, Berlin, Haga, Amsterdam i do domu.

— Jestto ogromna podróż, rzekła panna Hardwicke.

— Nie jesteśmy obowiązani wiernie się trzymać tej drogi; możemy powrócić jak tylko nam się będzie podobało.

— Naturalnie.

Znowu milczeli przez jakiś czas.

— Mamy razem przedsiębrać dłuższą jeszcze podróż, Klaudyo, rzekł nareszcie De Benham, starając się nadać wyraz trochę czulszy swoim słowom; spodziewam się że będzie... szczęśliwą.

— Mam także tę nadzieję, odpowiedziała nie podnosząc oczów wlepionych w mappę.

— Będzie to od nas samych zależało.

— Tak, zapewnie.

Spojrzał na nią, jak gdyby chciał odgadnąć jej myśli, ale nic nie mógł odczytać; nie było ani najlżejszego dreszczu, ani najsłabszego rumieńca. Głos jej był równie spokojny, obejście jej równie obojętne, jak gdyby mówili o deszczu i pogodzie.

Olbrzymy bliźnięta właśnie w tej chwili weszli, niosąc każden machoniową ławkę, które umieścili przed drzwiami wielkiego salonu; potem przyszedł marszałek z pulpitem i piramidą książek do nabożeństwa i złożył to wszystko uroczyście na stole przy którym jego pan siedział; za nim przyszły służące w porządku hierarhicznym, potem dwóch stangretów i trzech masztalerzy. Gdy cały dom był zebrany, De Benham i Klaudya przeszli z drugiego salonu, i pan Hardwicke odczytał wieczorne modlitwy.

Służący wyszli po kolei, przyniesiono świece i p. Hardwicke, zaprosiwszy De Benhama na cygaro do biblioteki, dyskretnie się wysunął.

— Do widzenia, Klaudyo, nietylko dobranoc, powiedział młody człowiek kiedy sami zostali. Wyjadę jutro rano przed śniadaniem.

— Musisz koniecznie wyjechać pierwszym pociągiem?

— Muszę, żeby moja matka nie była zmuszoną późno w nocy jechać.

— Lady De Benham nie zna jeszcze swego przyszłego mieszkania?

— Nie; ani nie była w Benhampton od dnia pogrzebu mego ojca.

— Spodziewam się, że nowy domek będzie się jej podobał, powiedziała panna Hardwicke.

— Tak, i służący i ekwipaż, jeżeli tylko nie będzie się czuć bardzo samotną.

— Będzie się zajmować patrząc na postępy budowy.

— Tak, i będzie miała moje listy... będzie to teraz tylko krótkotrwała przejażdżka; odwiozę ją do Londynu we środę.

Panna Hardwicke wzięła swoją świecę.

— Ty także powracasz do miasta we środę? powiedział De Benham.

— Najpóźniej we środę.

— Nie zobaczymy się więc jak we czwartek rano, w kościele, Klaudyo.

To mówiąc, wziął jej rękę i znów starał się trochę choć miłości i tkliwości w głosie swym wyrazić.

Panna Hardwicke słabo się uśmiechnęła.

— Dobranoc, powiedziała wyciągając rękę i idąc ku drzwiom.

— Dobranoc, odrzekł i dotknął się lekko ustami jej twarzy. Poszedł wtedy na dół na pół godziny i wypalił cygaro z przyszłym szwagrem, w wielkiej gotyckiej bibliotece.

Nazajutrz rano wyjechał przed siódmą; pan Hardwicke odprowadził go do stacyi, ale Klaudya, która nigdy przed dziewiątą nie schodziła, spała jeszcze kiedy odjechał. Tego samego dnia pojechał z matką do Monmouth gdzie przenocowali, a nazajutrz bardzo rano udali się do domu który jej przygotował; było to śliczne gniazdko, ukryte wśród róż, otoczone werandą okrytą zielonością, z dachem słomianym i z dość dużym ogrodem. Lady De Benham znalazła na ścianach ryciny przedstawiające ulubione jej obrazy, w bibliotece dzieła ulubionych jej autorów, w stajni i wozowni małego konia szetlandzkiego i powozik w którym mogła sama się powozić z pomocą masztalerza stojącego z czapką w ręku, i oczekującego rozkazów swej nowej pani, żeby zaprządz i zawieść ją do Benhampton. Widząc z jakiem przywiązaniem i staraniem syn jej te wszystkie rzeczy przygotował, lady De Benham starała się zapomnieć że niedługo będzie musiała się z nim rozstać i udawała że tak była szczęśliwą, jak sobie on życzył.

Pojechali nowym powozikiem do Benhampton, gdzie zastali tłumy mularzy i cieśli pracujących już przy zewnętrznych murach, i nadzorcę robót mieszkającego w części dawniej zajętej przez pana Bowstead. Obszedłszy całe ruiny i porównawszy istniejące jeszcze szczątki z planami i rysunkami architekta, poszli potem piechotą do kościoła. Tutaj lady De Benham, która tylko raz przeszła ten próg i to w najsmutniejszy dzień swego życia, uklękła pod północnem oknem, ukryła twarz w rękach i modliła się gorąco nad miejscem gdzie leżał małżonek jej młodych lat.

— Dwadzieścia lat blizko już minęło, powiedziała, wstając blada i zapłakana. Dwadzieścia smutnych lat, a zdaje mi się że to było wczoraj.

— Było wczoraj, jest dzisiaj, odpowiedział syn smutnie. Niema przeszłości dla tych którzy kochają.

Obeszli kościół i obejrzeli wszystkie pomniki.

— Szlachetny był to ród, rzekła lady De Benham, a ty Temple jesteś ostatnim ich imienia, ostatnim ich potomkiem.

— Dałby Bóg aby tak nie było! odpowiedział ponuro.

— Zdaje się to niepodobieństwem żeby... żeby on nie znajdował się teraz bliżej nas, żeby on był tylko jednym z tych umarłych.

— Oh matko! cóż tak złego połączyć się z tak szlachetnemi zwłokami.

Lady De Benham potrząsła głową i uśmiechnęła się smutnie.

— Proch i kości zawsze, mój synu, rzekła. Młody człowiek spojrzał na około siebie i oczy jego nowym ogniem zajaśniały.

— Brylantowym więc prochem jest każde jego ziarnko! powiedział dumnie. Patrz matko, dwa lata temu stałem przed tym ołtarzem, w obecności tych umarłych, i dla tego że byli z mego rodu, i dla miłości imienia które noszę, przysiągłem że odzyskam dobra jakie oni nabyli, że odbuduję zamek jaki oni wznieśli, i że będę dla ich czci, raczej niż dla mojej, De Benhamem z Benhampton. Dotrzymałem mojej przysięgi, w dwóch latach, w dwóch krótkich latach!

Kiedy to mówił, zbladł nagle i musiał się o kolumnę oprzeć.

— To nic, powiedział, to tylko chwilowe odurzenie.

— Rękę masz zimną, drżysz! O nieszczęsna przysięga! Widzę teraz wszystko, poświęciłeś zdrowie żeby jej dotrzymać.

— Uczyniłbym tak samo, — odpowiedział, z trudnością przychodząc do siebie, —poświęciłbym wszystko co poświęciłem, raz jeszcze, tak, dziesięć razy, żeby dojść do tego samego celu.

— Obyś przynajmniej nie poświęcił także twego szczęścia, dziecko moje drogie! powiedziała lady De Benham z uczuciem niewypowiedzianej trwogi. Zdawało mi się czasem...

Zatrzymał ją rozkazującym ruchem ręki.

— Cicho! zawołał. Ani słowa o tem, matko. A teraz wyjdźmy odetchnąć trochę.

ROZDZIAŁ XXI.

Małżeństwo w wielkim świecie.

Dzień 25-ty kwietnia był szary, mglisty, zimny. Nie można było powiedzieć żeby deszcz padał, ale mniej jeszcze można było twierdzić żeby powietrze było po prostu wilgotne, bo zaledwie widzialny i ciągły deszczyk mrzył, osiadał na oknach i okrywał bruk, balkony i wszystkie przedmioty, jakby okropnym zimnym potem. Ulice posępnie wyglądały, ogrody publiczne były jakby jedną ogromną kałużą; był to dzień przenikający zimnem do kości, nasuwający ochotę do emigrowania z kraju tak smutnego, albo do samobójstwa, ale nigdy do małżeństwa.

De Benham, wstawszy o siódmej, po bezsennej prawie nocy, drżący i ziębnięty po zimnej kąpieli, przeszedł pocichu obok drzwi pokoju matki, wsiadł do dorożki i kazał się zawieść do Savile Row. Spoglądał na wilgotny bruk i na szare niebo z rodzajem okrutnego zadowolenia, bo w jego sercu panowały smutek i zwątpienie, i posępny ten czas zgadzał się z posępnem jego usposobieniem.

— Czy myślisz pan że mogę żyć? spytał się nagle po dziesięcio minutowej rozmowie z sir Bartłomiejem Baxter, wstając żeby się pożegnać.

— Z pewnością, jeżeli tylko będziesz pan miał staranie o swojem zdrowiu, odpowiedział wielki człowiek.

— Będę o tem pamiętał.

— Nie powinienbyś pan naprzykład wyjeżdżać na taki czas. Czy nie możesz twojej podróży do jutra odłożyć?

— To niepodobieństwo.

— Dla czego, kiedy jestto koniecznem dla...

— Dla tego, że dzisiaj o wpół do dziesiątej mam być powieszony, a o dwunastej zwłoki moje będą z kraju wywiezione, przerwał De Benham z gorzkim uśmiechem, to jest że dzisiaj się żenię.

Oblicze Sir Bartłomieja wyraziło zdziwienie, ale był zanadto dobrze wychowanym żeby je w słowach okazać.

— W takim razie, powiedział, nie mogę nic innego uczynić, jak polecić pana memu przyjacielowi w Paryżu, doktorowi Cherbuliez. Staraj się codzień go widywać, dopóki tam będziesz bawił. Zresztą strzeż się pan nagłych zmian klimatu i żyj jak można najskromniej.

— Dziękuję ci, sir Bartłomieju, rzekł De Benham; uczynię co będę mógł, a teraz, do widzenia.

— Do widzenia, panie Temple.

I p. Temple, wsiadł nazad do swojej dorożki, czemprędzej pojechał do domu i znalazł się w swoim pokoju, kiedy lady De Benham myślała że zaledwie mógł się ubrać.

Tymczasem Klaudya Hardwicke, siedząc przed zwierciadłem, otoczona swemi służącemi, zaledwie wiedziała jaki był czas. Widziała że dzień był posępny, ale się nawet nie domyślała że było zimno. Wilgoć i chłód świata zewnętrznego, nie mogły się dostać do wspaniałych komnat o podwójnych oknach i drzwiach, o ciężkich portyerach i firankach, o posadzkach okrytych grubemi dywanami.

Jedna ze służących czesała jej długie włosy, druga, przechodząc cicho z pokoju do pokoju, kończyła pakowanie i oczekiwała chwili ustrojenia swej pani w wspaniałą białą atłasową suknię, okrytą bogatemi koronkami i leżącą na łóżku, a Klaudya oparta w krześle, z oczami w pół zamkniętemi, z rękami złożonemi, myślała z zadowoleniem o losie jaki sobie obrała.

Znając całą wartość swej piękności i swego majątku, od najmłodszych lat postanowiła zdobyć sobie wysokie stanowisko. Była to jedna z dobrych rzeczy tego świata, którą nadewszystko ceniła. Zrodzona i wychowana pomiędzy wzbogaconemi mieszczanami, namiętnie pragnie tęskniła za tem czystszem i delikatniejszem powietrzem, którem oddychają wysoko urodzeni tego świata, a teraz życzenie jej zostało spełnione, życie tych wybrańców miało być jej udziałem. Już widziała siebie zamieszkującą najarystokratyczniejszą dzielnicę miasta, przedstawioną u dworu, przejeżdżającą się po ulicach parku w swej herbowej karecie, odwiedzającą najznakomitsze osoby w kraju i przyjmującą je u siebie, królującą w zamku Benhampton.

I teraz nawet, gdy siedziała przed zwierciadłem, mogła widzieć na około siebie dowody tej świetnej przyszłości. Na stole, stała szkatułka z przyborami toaletowemi, w bogatych oprawach z kości słoniowej i złota, a na każdem przykryciu, na każdym korku, na każdej szczotce wyryta była jej cyfra z koroną. Na toalecie przed nią leżał w dwóch pudełkach ostatni dar pana Hardwicke: naszyjnik, dyadem, kolczyki, bransoletki i brosze z pereł i szmaragdów, prawdziwie królewskiego przepychu, oddane jej dzisiaj rano, nim jeszcze wstała, i których cena pięciома cyframi musiała być oznaczoną. Na drugim stoliku leżały jeszcze inne dary, okazujące mniej lub więcej bogactwo tych którzy je ofiarowali.

Gdy Klaudya Hardwicke spoglądała na to wszystko, i myślała o swej przyszłości, uczucie tryumfu napełniało jej serce i raz jeszcze powtórzyła sobie, że dobrze i mądrze uczyniła, i że los jej był godnym zazdrości.

Nie trzeba jednak myśleć żeby człowiek którego ona miała zaślubić nie przyczyniał się także do tego uczucia. Owszem, panna Hardwicke dumną była z Templa De Benham, dumną z jego starożytnego i szlachetnego pochodzenia, z jego osobistych przymiotów, z jego śmiałości, odwagi, stałości, z jego powodzeń.

(*D. c. n.*)

Druk J. Noskowskiego Mazowiecka Nr. 11. Дозволено Цензурою, Варшава 12 (24) Декабря 1875 г.